MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 24. WARSZAWA, 28 MAJA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

KAZANIA I FINANSE

PRZED PARU LATY wykwintna publiczność, zaproszona na uroczystość podpisania paktu Kelloga w sali Zegarowej francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych, była świadkiem charakterystycznej sceny. Po sali wypełnionej już zaproszonymi gośćmi (powtarzam relację naocznego świadka) kręci się kilkunastu osobników bez marynarek, z zawiniętemi rękawami koszul i z fajkami w gębach. Ludzie ci ustawiają jakieś rusztowania, drabinki, aparaty, potrącają wszystkich, odmierzają odległości, próbują reflektory: to operatorzy kinematograficzni. W pewnym momencie otworzyły się dzwi od przyległego salonu i w podwojach ukazała się procesja mężów stanu, mających dokonać historycznego aktu. Lecz z grupy operatorów rozległy się groźne okrzyki: Jeszcze nie! Nazad! Wrócić! — i oto pełnomocnicy nie wiem już ilu państw, zawracają pokornie, jak statyści na próbie w teatrze, znikają za drzwiami i dopiero po kwadransie, na dany znak, powracają w uroczystym pochodzie z przygarbionym Briandem i szklanookim Kellogiem na czele, aby wreszcie uszczęśliwić ludzkość wiecznym pokojem. Ta kapitulacja przed reklamą wywarła nawet na dziennikarzach, którzy niejedno w życiu widzieli, przygnębiające wrażenie. Jest to jednak nie najbardziej szkodliwy atrybut t. zw. jawnej dyplomacji, proklamowanej jako zdobycz ludów po wielkiej wojnie. Gorsza jest demagogja i hypokryzja, która wraz z ową nibyto jawną dyplomacją zalała świat wzmożoną falą.

Trudno byłoby już dziś zliczyć owe zjazdy międzynarodowe i koferencje, jakie od czasu wojny odbyto. Nie dają one przeważnie żadnego rezultatu, a jeżeli coś się na nich istotnie stanie, to, naturalnie, rzecz zgóry ukartowana na poufnych naradach tych, którzy pociągają sznurki za sceną. Mimo to, aby opinja łatwowiernych mas miała wrażenie, że w czemś uczestniczy, każda taka konferencja otrzymuje swoją porcję mów programowych, odezw do ludów, orędzi i t. p., które niejednokrotnie, w krajach anglosaskich, nabierają charakteru istnych kazań. Z takiem kazaniem zwrócił się ostatnio do świata prezydent Stanów Zjednoczonych, grożąc potępieniem tym narodom, które nie będą uważały za możliwe przyjąć planu rozbrojenia, wygotowanego na naradach z drugim kaznodzieją Mac Donaldem, zapobiegliwie montującym jednocześnie dyktaturę nad Europą, w postaci zmowy czterech mocarstw, nazwanych w publicystyce francuskiej „Klubem rzeźników".

Zachęta do rozbrojenia, chociażby nie odniosła pożądanych wyników, mogłaby być godną uznania i szacunku tylko pod warunkiem, żeby była szczera, t. zn. żeby mocarstwo, które taką zachętę wygłasza, gotowe było ponieść dla tej idei ofiary krwi i mienia. Gdybyśmy byli przeczytali w orędziu: „Dość już okropności wojny, ludzkość dojrzała już chyba do tego, żeby innym sposobem rozstrzygać swe spory. Rozbrójmy się i stwórzmy organizację dla ochrony prawa i słuszności. Naród, w którego imie-

niu przemawiam, gotów jest do najwyższych ofiar w tym celu“ — to mielibyśmy pewne wątpliwości, czy cel ten da się osiągnąć, lecz mielibyśmy niewątpliwie również uznanie dla szlachetności inicjatywy. O takiej gotowości do ofiar na rzecz wspólnego celu głucho jednak w orędziu, a wiadomości, jakie rozeszły się, po powrocie Herriota z Ameryki, o tem, co Stany zamierzają dać jako gwarancję pokoju ze swej strony, brzmią poprostu zabawnie: rząd Stanów gotów byłby zabronić swym obywatelom handlu lub też zaprzestać opieki nad swymi obywatelami, prowadzącymi handel z państwem, winnem agresji, o ile stwierdzenie tej agresji byłoby uznane przez instancje amerykańskie za słuszne. Aż tyle! Co za satysfakcja dla niesłusznie napadniętego i jaka wydatna pomoc! Mamy więc tu znów jeden z przejawów owej jawnej dyplomacji, za którerni kryją się wstydliwie cele zupełnie inne.

Nie są to zresztą cele tajne, przynajmniej dla tych, którzy uważniej śledzą posunięcia polityki międzynarodowej. Nie chodzi tu o pokój, lecz o możność rewindykacji długów, przedewszystkiem z Niemiec. Banki, kierujące polityką Stanów, zabiegają oddawna o zapewnienie sobie dochodu i zwrotu olbrzymich sum, umieszczonych po wojnie w Europie, przedewszystkiem w Niemczech. Doprowadziły więc do faktycznego skreślenia odszkodowań, które wpływały do skarbu (nie do prywatnych banków), aby ułatwić wypłacalność Niemców i obecnie zabiegają dalej w tym samym celu o zmniejszenie budżetów europejskich. Finansjera amerykańska ma na tym punkcie poparcie rządu i finansów angielskich. Anglja bowiem, przyciskana coraz mocniej przez trudności gospodarcze, chętnie zmniejszyłaby swój budżet wojenny i ma nadzieję przeprowadzić redukcję tych rodzajów zbrojeń kontynentalnych, które są dla niej niebezpieczne. Stąd nieustanny przypływ werwy deklamacyjnej i kaznodziejskiej po obu brzegach wielkiej wody. Takie jest zdanie o tych sprawach niezależnej publicystyki zachodniej.

Wyjaśnia to również stosunek do Hitlera i jego przemówień. Przed ostatnią mową w *Reichstag*'u panowało w kołach zachodnich pewne zaniepokojenie. Obawiano się, mimo wszystko, że ten „niepoczytalny“ człowiek zepsuje całą sprawę, że powie coś takiego, co całą kwestję rozbrojenia uczyni niemożliwą. Hitler okazał się jednak mniej niepoczytalnym, niż go żydzi usiłują przedstawić. Uznał że deklaracje v. Neuratha o tem, iż Niemcy będą się zbroić tak, jak uważają za potrzebne, są dostateczne i sam wygłosił mowę, uznaną za „pojednawczą“, przyjętą z westchnieniem ulgi, tak że otrzymał za nią od „*Times*'ów“ epitet prawdziwego męża stanu. Powiało dlań wszędzie atmosferą przychylności, stał się nieomal *champion*'em pokoju, a wysłannik jego, Schacht, traktujący w Ameryce o nowy układ w sprawie długów, został w drodze powrotnej przyjęty w Londynie ze szczególnem zadowoleniem.

Zapomniano już o prześladowaniach żydów przez Hitlera. Sprawdziły się przewidywania znakomitego pisarza H. Belloc'a, który po wybuchu oburzenia w Anglji na „barbarzyństwa niemieckie“ pisał: „Nawet jeżeli złość żydów na Prusy będzie się rozszerzała, to i tak nie są oni w stanie wpłynąć na politykę angielską w tym stopniu, jak się to myśli. Żydzi grają dużą rolę w międzynarodowych finansach, lecz już nie dominującą. Pozatem, gdyby nawet posiadali jeszcze swą dawną potęgę, to jako f i n a n s i ś c i, będą raczej popierali Prusy. Jako finansiści mają interes w tem, żeby Rzesza była autorytatywnie rządzona i żeby jej potęga industrjalna odżyła. Są oni przekonani, że nic nie stoi na przeszkodzie temu, aby tak znakomicie wyekwipowana społeczność, jak Rzesza odzyskała swą dawną pozycję przemysłową. Na tę stronę przechyla się sąd całej międzynarodowej kasty bankierskiej i żydowscy bankierzy międzynarodowi zgadzają się w tem ze swoimi nieżydowskimi kolegami. Widzieliśmy, że dom Kahna pracował na równi z domem Morgana nad zniszczeniem odszkodowań i przeforsowaniem moratorjum, tak żeby w rezultacie otrzymać procenty od swych pożyczek kosztem francuskiego i angielskiego podatnika. Nic nie stało się takiego, coby nakazywało im myśleć, że Rzesza będzie obecnie mniej sprawna jako potęga przemysłowa, niż to było w przeszłości, ani też, że będzie mniej lukratywnem polem dla ich operacyj. Czy ten sąd o przyszłości Rzeszy, pielęgnowany przez finansistów, okaże się słuszny, i czy nasz kraj (-(Anglja)-), popierając pruską potęgę przeciwko Polsce i przeciw Francji nie stawia na złego konia, to jest inna sprawa. Niema jednak wątpliwości, że na tego konia swą stawkę postawił. I jeżeli ma nastąpić zmiana w tym względzie, to może to się stać jedynie przez nieoczekiwany renesans francuskiej potęgi politycznej w Europie, potęgi, która od więcej już niż jednego pokolenia znajduje się w stałym upadku. Co do argumentu, że groźba wojny postawi nas natychmiast po stronie przeciwnej napadającemu, to nie ma on również podstaw. Cała najlepiej poinformowana opinja w Anglji, a szczególniej opinja zawodowych naszych urzędników i większości dyplomatów jest przekonana, że w razie konfliktu będziemy mogli zachować neutralność i w konsekwencji przy końcu wojny osiągnąć korzyści, jakie tylko będziemy chcieli. Ten sąd może też się okazać fałszywy, lecz że wisi on niejako w powietrzu, którem oddychamy, musi przyznać każdy, kto tylko śledzi za tem, co się u nas dziś pisze, mówi i czyni”.

Taki jest sens, kryjący się za kazaniami, których nam każą słuchać.

ZYGMUNT RACZKOWSKI

GLOSSY TRZECIOMAJOWE

(O RÓŻNYCH ZAPATRYWANIACH NA WIEK OSIEMNASTY)

I

W CENNEJ książce Bohdana Suchodolskiego o „Ideałach kultury a prądach społecznych“, w rozdziale o „Konserwatyzmie“, niepełnym zresztą dosyć, bo nie rejestrującym zgoła nowszych prądów konserwatyzmu polskiego, przedrukowane zostały między innymi z rozprawy Ludwika Górskiego „O konserwatorstwie w Polsce“ (1853) piękne wywody tego starego polityka konserwatywnego o tradycji.

„Jakież są te wielkie prawdy“, — pisze tam Górski — te zbawienne zasady, któreśmy przedstawiali i bronili? Nie inne niewątpliwie, tylko obrona chrześcijaństwa, obrona całości nauki i wiary Kościoła katolickiego przeciwko hipokryzji krzyżackiej, przeciwko herezji szwedzkiej, przeciwko barbarzyństwu pohańców, przeciwko schizmie greckiej. To nasze dziedzictwo, to patent naszego narodowego szlachectwa. Przedstawialiśmy zatem nietylko wielką prawdę, ale odpowiadaliśmy wielkiej potrzebie cywilizacji. Skąd więc przyszedł nasz upadek? Czy ta potrzeba ustała, czy my jej odpowiadać przestali?

Wiek osiemnasty był epoką wielkiego upadku wiary katolickiej na zachodzie Europy, a temsamem poniżenia potęgi politycznej narodów katolickich. Natomiast, i właśnie dla tej samej przyczyny, była to pora olbrzymiego wzrostu najzaciętszych katolicyzmu wrogów: Anglji, Prus i Rosji. W katolickiej Francji Wolter i wielcy koryfeusze ruchu umysłowego przyklaskiwali zwycięzcom, ciesząc się z poniżenia własnej ojczyzny. W takiem usposobieniu umysłów ważność sprawy katolickiej na wschodzie Europy, a z nią sprawa niepodległości Polski, straciły dawne i należne jej znaczenie... W tem dziele filozofja podawała rękę polityce.

Z przyjęciem wiary chrześcijańskiej zaczyna się historja nasza, poniżenie jej w Europie nasz byt polityczny przecina. Lecz kiedy katolik mówi o upadku wiary chrześcijańskiej, rozumie tylko przez to upadek chwilowy, bo jej byt i przyszłość, słowami Chrystusa Pana, zapewnione są na wieki. Być może zapewne, że skutki osiemnastego wieku długo jeszcze ciężyć będą nad światem: zło zbyt głęboko jest zakorzenione, abyśmy prędkiej poprawy spodziewać się mogli. Wybierać jednak dzisiaj mamy między prawdą i wiarą przodków, a fałszem i zasadami, których pierwsi padliśmy ofiarą; między tradycją narodową, której dawne nasze znaczenie i to, co w upadku pozostało żywotne z sił naszych winniśmy, a pogardą przeszłości; między przechowaną dotąd pobożnością ludu naszego, a materjalizmem Woltera lub niemieckim racjonalizmem“.

II

Jeżeli weźmiemy teraz do ręki pierwszych czterysta stron tomu III Brücknerowych „Dziejów kultury polskiej“ (wydanych w r. 1931) i przeczytamy tę najświeższą syntezę „przewrotu umysłowego w Polsce wieku XVIII-go“, o którym czterdzieści lat wprzódy pisząc, Smoleński opatrzył książkę swoją charakterystycznem dla czasów swoich mottem: „Wierzenia, dzieci niewiadomości, niedługo przeżywają swoją matkę“, zobaczymy zgoła odmienny obraz.

Brückner zbyt jeszcze żywo reaguje na prądy otaczającej go nowej epoki i zbyt wytrawnie przystosowywuje się do kamertonu swoich czytelników, ażeby chciał, chociażby to nawet odpowiadało jego przekonaniom, opatrywać swoje wywody tego rodzaju mottem. Niemniej zbliża się on do przedczterdziestoletniego Smoleńskiego poglądem swoim na przewrót umysłowy, jaki dokonał się w Polsce wieku XVIII-go. Żywa jest bowiem antypatja jego do „ludzi najmarniejszych“ (epoki saskiej) i ich czasów, głośnych „śpiewem różańcowym i Gorzkich Żalów“, a rażących go „smakiem oleju postnego i bigosów hultajskich... zdzierstwem i nieuctwem księży, a próżniactwem mnichów, dewocją i bezmyślnością wszystkich“. „Za Sasów“—pisze Brückner — „Polska szlachecka (innej nie widziano), to wielki klasztor, a jak się w nim żyło, opowiedział Krasicki w *„Monachomachji“*. Z klasztoru tego wyszła Polska za Stanisława Augusta na świat słoneczny, rozbawiona i jasna, czynna i dzielna“... Trudno o kontrast jaskrawszy, ale kontrast ten nie wytrzymuje próby krytycznej i załamuje się już wtedy np., kiedy autor mówi o wierze czasów Stanisławowskich, zgrupowawszy wszystkie cienie po stronie saskiej, a wszystkie światła po stronie czasów nowych — nie dając jednak klucza zagadki, dlaczego właśnie reakcja, reakcja choćby barska, ze strony żywiołów, głośnych „śpiewem różańcowym i Gorzkich Żalów“, a rażących „smakiem oleju postnego“ przeciwko tamtej Polsce, Polsce — zdaniem autora — słonecznej, rozbawionej i jasnej, była jednak reakcją zdrowszą.

III

Przed laty piętnastu, w czasach, kiedy tworzyła się nowa Polska, w przemówieniu, wygłoszonem na obchodzie trzeciomajowym w Zurychu[1]) postarałem się, jako badacz stulecia osiemnastego, zdobyć się na syntezę owych prądów stałych, a tak sprzecznych w ocenie przełomowej dla losów naszych epoki. Chodziło mi wtedy o wynalezienie w dziejach naszych średni pomiędzy tem, co stanowiło w nich autorytet, a tem, co reprezentowało indywidualizm szlachecki — wieczysty spór *inter maiestatem et libertatem.*

Dookoła dnia trzeciomajowego oplotły się bowiem konflikty dwojga tych prądów. A i cały wiek osiemnasty, u którego schyłku rozegrała się ta nasza tragedja dziejowa — był, rzec można, jednym wielkim konfliktem *inter maiestatem et libertatem.* Prawował się — wskroś niego — z majestatem urządzeń rzymskich, jeszcze średniowiecznych, ów, z humanizmu wywodzący się prąd wolnościowy, najliryczniej wcielony w Russa, świadom wszakże siebie również we wszelkich protestach wolterjańskich i niewolterjańskich.

Los tak zdarzył, że hasła autorytetu wygrane zostały — w osobach twórców konstytucji majo-

[1]) „Trzy przemówienia“, Lozanna 1918.

wej — przez obóz, który tkwił skądinąd korzeniami w doktrynie libertarystycznej. Była też może u podstaw działalności tego obozu pewna nieszczerość, ta sama czy zbliżona przynajmniej, do tej, co pozornym głosicielom Wolności, Równości i Braterstwa kazała wznosić we Francji krwawą dyktaturę gilotyny. Nieszczerość ta, jak każda nieszczerość tej kategorji, pomścić się też mogła czy musiała. Naodwrót znowu obrońcami Wolności w Polsce mienili się także „republikanie", Targowiczanie, będący w gruncie rzeczy konserwatystami społecznymi z krwi i kości, bal nawet reakcjonistami, niebezpiecznymi swojem sobkostwem.

Zatem pomieszanie pojęć i ról i złowroga ich zamiana na platformach, których analogję konstatowaliśmy już, wspominając o dziele Brücknera. Tam ten król, ci jego paladyni tacy oświeceni, ci Poniatowscy, Mokronowscy *e tutti quanti* — to byli jednak, jeżeli się przyłoży do stanowisk ich kryterja polityczne, elementa wsteczne, hamujące koła rozpędowe historji polskiej. Ci zaś konfederaci, ciemni nieraz i, jak charakteryzuje ich Brückner, zabobonni, czuli jednak instynktownie, ale lepiej, właściwy sens historji polskiej. I nie chodzi nam tu wcale tylko o spór zasadniczy pomiędzy wysiłkiem zbrojnym, powstaniowym, owych kofederatów, a czynem organicznym tamtych działaczy Stanisławowskich, chodzi nam o to, że czyn organiczny w sumie udać się nie mógł, skoro skażone były przesłanki, źródliska ich akcji.

Brückner — nie ze złej woli, nie z tendencji, ale z nieznajomości czy też niezrozumienia, przesuwa się lekko nad znaczeniem dziejowem wolnomularstwa polskiego. Gdyby się nad niem zastanowił był głębiej, nie uszła byłaby uwagi jego antynomja — nie zaś harmonja — pomiędzy wściekłym libertarjuszem szlacheckim, zapienionym w swojem *liberum veto*, a tym wytwornym magnatem, który z lóż masońskich czerpał pojęcia o odrębnej, acz w przekonaniu swojem, równie dostojnej Wolności. I pytanie, co groźniejszem było dla spoideł wiążących Rzeczpospolitę, czy ta wolność urojona szlacheckiego warjata i warchoła, każąca rwać mu sejm po sejmie, czy też ta druga, równie złudna, autonomja etyczna. Na pierwszą, bądź co bądź, oddziaływać mógł niekiedy hamująco autorytet, którego się słuchał jeszcze ślepy skądinąd i głuchy na otaczającą go rzeczywistość szlachcic: autorytet społeczny czy kościelny; druga, choć skłonna była, w zakresie politycznym, tolerować, na modłę zachodnią, nawet „*absolutum dominum*", w życiu prywatnem uznawała *absolutum dominum* każdej jednostki, jednostki, wyzwolonej z wszelkich praw oraz wiązadeł.

Oto antynomja, którą roku tego nasunęła myśli naszej rocznica trzecio-majowa. Apoteoza Oświecenia, którą dał w dziele swojem Brückner, bezwzględnie nie wytrzymuje krytyki. Bliższa jest nas oczywiście — w stosunku do stulecia osiemnastego — anatema rzucona na nie przez publicystę katolickiego, Górskiego. Ale, chociażby stanąć się chciało wpośrodku, jedno się uwydatni namacalnie: niewystarczalność obu w czambuł obozów do zbudowania jako tako żywotnej Polski. Libertarjusze szlacheccy, przepojeni autorytatywną doktryną Kościoła, zdobywali się jednak na poronione tylko płody: wychowani w nieświetnej szkole klasztornej, zdobyli się na Bar, pełen chaotycznej anarchji, na cześć tej wiary, która winna być i jest przedewszystkiem moralnym ładem. Libertarjusze znów wolnomularscy, zapatrzeni w czysto świecki porządek, nie mieli w sobie żadnej sankcji moralnej, która — na dalszą metę — zdolna byłaby była narzucić tłumom posłuch dla doktryn ich, często słusznych, ale wymagających niebylejakiego zaparcia się i karności. Ideałom ich brakowało nieraz tchu.

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

PRZYSZŁOŚĆ USTROJU GOSPODARCZO-SPOŁECZNEGO

(Z POWODU OSTATNIEJ KSIĄŻKI STANISŁAWA GRABSKIEGO)

OSTATNI ZESZYT „Ekonomji Społecznej" Stanisława Grabskiego poświęcony jest „Dążeniom rozwojowym współczesnego kapitalizmu" i zamyka szereg monografij, tworzących całość jego wykładu „Ekonomji". Wykład ten różni od zwykłych wykładów tej nauki tem, że zajmuje się przedewszystkiem socjologicznemi podstawami ekonomji i scharakteryzowaniem ustrojów społeczno-gospodarczych w ich historycznym rozwoju. Ostatni zeszyt jest logicznem uzupełnieniem i wykończeniem wykładu przez sformułowanie i uzasadnienie prognozy dalszego ciągu dotychczasowej ewolucji ustrojów „kapitalistycznych". Profesor Grabski nie przychyla się do zapatrywań, zapowiadających koniec dzisiejszego ustroju i nieuchronny upadek dobrobytu Europy i świata, uważając, że „wieszczeniem, a nie prognozą naukową jest wszelkie twierdzenie, że przyszłość społeczna będzie taka, a nie inna. Wieszczenia przyszłości społecznej, choćby w rzekomo naukowej formie, jak zapowiedź Marksa, wskutek tego właśnie zawsze zawodziły i zawodzić będą, że nie liczą się one z nieustannem zjawianiem się nowych idej, nowych wynalazków technicznych, nowych form organizacyjnych, nowych sposobów walki z tendencjami, zagrażającemi czyto powszechnemu dobrobytowi, czy spokojowi publicznemu, czy uprawnionym interesom poszczególnych grup społecznych". Wynika stąd, że zadanie ekonomisty w zapowiadaniu przyszłych przeobrażeń gospodarczo-społecznych jest, jego zdaniem, bardzo ograniczone: może on oceniać i przewidywać rozmaite możliwości, jak to uczynił także prof. Rybarski w swych studjach o „Przyszłości gospodarczej", nie może jednak przesądzać, czy i która z tych możliwości rzeczywiście się ziści. A dodać tu możnaby także ten powód, że poza czynnikami gospodarczemi jest wiele innych jeszcze czynników, wpływających na losy ewolucji społeczno-gospo-

darczej. Przedewszystkiem należy tu psychika narodów, po wojnie światowej wielce niespokojna i pełna niewiary w naturalny rozwój gospodarczy, oglądająca się nieustannie na państwo, które też czuje się powołane do kierowniczej roli gospodarczej. Wystarczy wspomnieć o dwu przykładach z ostatnich miesięcy, jakich pod tym względem dostarczyły, nie faszystowskie Włochy ani sowiecka Rosja, ale dwa najliberalniejsze i ekonomicznie najpotężniejsze państwa: W. Brytanja i Stany Zjedn. Ameryki Północnej, które z całą swobodą i rozwagą zdecydowały się na planową redukcję swej waluty, a więc na zamach na najczulszy nerw w życiu gospodarczem, wbrew zasadom własności i wolności oraz uświęconej tradycji w obydwu krajach. Państwo powojenne więc zajmuje w gospodarstwie narodowem wszystkich krajów pierwszorzędne stanowisko, a system „planowej gospodarki“ jest przedmiotem poważnych rozważań, jak gdyby był naturalną funkcją władzy państwowej.

Przy tej sposobności muszę zgóry zaznaczyć, że uważam za niewłaściwą nazwę „ustroju kapitalistycznego“ i „kapitalizmu“ na oznaczenie panującego systemu gospodarczego, nazwa ta bowiem oświetla tylko z jednej strony, niejako z wierzchu, nakształt reflektora elektrycznego, niektóre charakterystyczne cechy dzisiejszego ustroju, ukrywa zaś i zaciemnia inne jego cechy, bardziej stałe i zasadnicze. Nazwę tę wprowadził do literatury Sombart, wskazując na to, że organizacje, dążące do zysków z kapitałów, w świecie nowożytnym wytworzyły nowe uwarstwienie społeczeństwa, powołując znaczną część ludności do przemysłu, że przemysł, który był w dawnych epokach ubocznem zajęciem, stał się zajęciem przewodniem i obalił starą budowę gospodarczą, że kapitalizm wywołał nowe prawo (wolność handlu i wolną konkurencję), nową technikę i nowe ideje społeczne, oraz zajmuje, w Zachodniej i Środkowej Europie, łącznie z robotnikami w życiu gospodarczem jedną czwartą do jednej trzeciej całej ludności. Prof. Grabski przyjął tę nazwę i poszedł jeszcze dalej, albowiem cały ustrój współczesnych państw chrześcijańskich nazywa ustrojem kapitalistycznym dlatego, ponieważ „jednostkę łączy z gospodarczem życiem społeczeństwa współdziałanie jej z działalnością przedsiębiorstw, zaopatrujących rynki w dobra, których ogół ludności potrzebuje, a celem większości dóbr tych dostarczających jest zysk kapitalistyczny“. Argumentacja ta nie trafia mi do przekonania, ponieważ nie każdy przedsiębiorca dąży do zysku bez pracy, a stąd, że kupuję towary u kapitalisty, nie wynika jeszcze, że i ja jestem przejęty duchem kapitalistycznym, który wedle słusznego zdania Sombarta jest główną cechą kapitalizmu. Tak samo nie są tym duchem przejęci robotnicy i pracownicy przedsiębiorstw kapitalistycznych, których Sombart w czambuł zaliczył do kapitalizmu. Nazwa więc ustroju kapitalistycznego nie ogarnia całości gospodarstwa narodowego i nie dociera do jego rdzenia: podstawą ustroju społecznego jest nadal własność indywidualna, prywatna czy publiczna, i system wymiany pieniężnej, oraz przedsiębiorstwo, wytwarzające dla potrzeb ogólnych i dla zysku. Przedsiębiorstwo to może posługiwać się kapitałem własnym lub obcym, ale nie koniecznie ma charakter kapitalistyczny, bo opiera się często na własnej wiedzy i pracy, kapitał własny ma znaczenie pomocnicze, a kapitał osiągnięty w drodze kredytu jest dlań raczej ciężarem, powiększającym koszty produkcji. Wprawdzie w okresie t. zw. „wysokiego kapitalizmu“ największe przedsiębiorstwa nabierają cechy kapitalistycznej, dążą do zysku z kapitałów, ulokowanych przez akcjonarjuszów i przez banki, ale okoliczność ta nie jest zdolna wpoić w cały ustrój i we wszystkie warstwy społeczne (rolnictwo, zawody robotnicze, rzemieślnicze i wolne) ducha kapitalistycznego. Nadto duchem tym nie jest przeniknięte ani państwo, ani związki publiczne, ani przedsiębiorstwa publiczne. Przeciwnie, polityka społeczna, rozgałęziona dzisiaj wszechstronnie, jest antykapitalistyczną, stawia zaporę duchowi kapitalizmu i zmusza go do kapitulacji. Tak samo polityka skarbowa państwa jest niezmiernym hamulcem dla zapędów kapitalistycznych, zabierając w formie podatku dochodowego i innych podatków bezpośrednich bardzo znaczną część zysków na rzecz państwa, a pośrednio dla potrzeb i celów całego społeczeństwa. Ze stanowiska więc tak doniosłego dzisiaj czynnika gospodarczego, jakiem jest państwo powojenne, możnaby przyznać przewagę raczej duchowi antykapitalistycznemu. W ogólności gospodarstwo narodowe i ustrój społeczny są utworami tak złożonemi, że niepodobna oświetlić ich istotnych cech charakterystycznych jedną nazwą, choćby ona pewne strony tego ustroju, a zwłaszcza jego dynamikę częściowo wyjaśniała. Już Bruno Hildebrand próbował dynamikę tę określić wyrazami: „gospodarstwo naturalne, pieniężne, kredytowe“, które tłumaczą nie tylko postęp w wymianie społecznej i w środkach wymiany, ale także przeobrażenie produkcji naturalnej w przedsiębiorczą; ale powszechnie uznano, że wyrazy te jednostronnie tylko oddają ewolucję gospodarczą. To samo odnieść można do prób, podjętych przez Schmollera, Büchera, Sombarta i innych.

Nakoniec techniczna racjonalizacja produkcji mylnie jest przypisywana kapitalizmowi i uważana za jego charakterystyczną cechę. Racjonalizacja produkcji jest naturalną konsekwencją postępu technicznego w każdym rodzaju produkcji, małej, średniej i wielkiej i w każdym systemie gospodarczym, przedsiębiorczym czy komunistycznym. Przystosowanie się do postępowych metod produkcji zostało przyśpieszone przez system wolnej konkurencji, niezależnie od organizacyjnych form produkcji i wymiany.

Sporą część książki poświęcił autor genezie obecnego kryzysu dla wykazania, że geneza ta nie różni się zasadniczo od genezy dawniejszych kryzysów, zwłaszcza z r. 1873 — 7, jako wynik silnego ożywienia spekulacji założycielskiej oraz szalonego wzrostu akcji kredytowej, tak pieniężnej, jak towarowej. Główną między niemi różnicę stanowić ma zniszczenie wojenne i silne powiązanie z kryzysem politycznym, jaki świat przeżywa. Jeżeli uwzględnimy, że kryzys polityczny, mimo wszelkich usiłowań międzynarodowych nabrał charakteru chronicznego i nie pozwala na przywrócenie równowagi i spokoju w stosunkach gospodarczych świata, zrozumieć mamy w myśl powyższego poglądu, także przewlekanie się kryzysu gospodarczego. Stąd dochodzi autor do wniosku, że nie są naukowo uzasadnione doktryny, „widzące w dzisiejszym kryzysie jakąś niezwykłą katastrofę dziejową, bez względu na to, czy one prowadzą do wniosków bolszewickich, czy faszystowskich“. Autor zwraca uwagę na fakt, że kryzys dzisiejszy, choć rozmiarami większy,

nie wywołał takiej nędzy wśród robotników, jak poprzednie, i że bezrobocie w Zachodniej Europie ciąży mniej na robotnikach, pozbawionych pracy, niż na skarbowości państwowej. Możemy tu dodać, że bezrobocie ciąży w przeważnej mierze na produkcji przedsiębiorczej i kapitalistycznej, która w formie świadczeń socjalnych i wzmożonych podatków ponosi nie tylko koszty ubezpieczeń swoich pracowników i robotników, ale także koszty utrzymania bezrobotnych. Nowoczesny bowiem system ubezpieczeń, wprowadzony w znacznej części już przed wojną, uznał faktycznie dla robotników prawo do pracy i utrzymania kosztem czynnej produkcji społecznej i skarbu państwa, co świadczy właśnie o socjalnym charakterze panującego ustroju.

Autor odróżnia dwa okresy kapitalizmu w rozwoju dotychczasowym i przewiduje przejście do okresu trzeciego. Charakterystycznemi cechami pierwszego okresu była wolna konkurencja i indywidualna przedsiębiorczość. W drugim okresie współzawodnictwo i walkę o ceny towarów i pracy najemnej regulują coraz bardziej umowy i taryfy zorganizowanych grup społecznych, prywatna przedsiębiorczość organizuje się w przedsiębiorstwach akcyjnych i kooperatywnych, a wraz z tem funkcja właścicieli kapitału oddziela się od funkcji kierowników przedsiębiorstw, oraz wzmaga się rola państwa w życiu gospodarczem. Wszystkie większe przedsiębiorstwa, zarówno państwowe i komunalne, jak kooperatywne, akcyjne i indywidualne mają ściśle kapitalistyczny charakter, czerpią zyski z obrotów rynkowych i obliczają je w stosunku do swego kapitału. Tu muszę zrobić zastrzeżenie, że niesłuszny jest pogląd autora, jakoby przedsiębiorstwa państwowe, komunalne, kooperatywne i indywidualne miały wszystkie charakter „kapitalistyczny". Mają one tylko zewnętrzne, rachunkowe formy kapitalistyczne, mają bilanse i rachunki strat i zysków, ale przeważnie nie mają charakteru czyli ducha kapitalistycznego, lecz starają się o wypełnienie swoich zadań społecznych, a względnie o osiągnięcie dochodu z pracy indywidualnej, nieraz niezależnie od wysokości włożonego kapitału).

Kryzys dzisiejszy uważa autor za wstęp do nowego okresu dziejów kapitalistycznego ustroju. Wszystkie zasadnicze tendencje rozwojowe trwają wprawdzie nadal, ale zmieniła się przedwojenna równowaga tych wszystkich dążeń i całego życia społeczno-gospodarczego. Wskutek utrzymania wysokiej stopy życiowej pomimo zniszczeń wojennych i zubożenia Europy, zwichnięta została przedwojenna równowaga między postępującym ciągle wzrostem dochodów, kapitalizacją i podnoszeniem się skali życiowej, gospodarstwo publiczne i interwencjonizm państwa rozrosły się niepomiernie, wojna i inflacja zniszczyły kapitały i osłabiły ducha oszczędności w społeczeństwach, zburzona została równowaga przedwojenna między postępem bogactwa a świadczeniami na rzecz gospodarki publicznej oraz równowaga rynków światowych. Równowaga rynków światowych mogłaby powrócić w dwojakiej drodze: albo przez wprowadzenie powszechnej wolności handlu (a także kapitałów i emigracji ludności), na czem, zdaniem autora, Polska źleby nie wyszła, albo w drodze układów międzynarodowych, zgóry normujących rozmiary wymiany między poszczególnemi krajami.

Wnioski, do jakich dochodzi autor ze swoich przesłanek teoretycznych, zgodne są z kierunkiem, jaki objawił się w praktycznej polityce państw dzisiejszych. Ustrój społeczny, jego zdaniem,ma zbyt silny grunt pod sobą i zbyt głęboko tkwiącą wolę życia, aby się nie mógł przystosować do istniejących warunków. Jakoż państwa zachodnie próbują w drodze konferencyj międzynarodowych wskrzesić ideę powszechnej wolności handlowej, wbrew powszechnie przyjętej i zakorzenionej polityce samodzielności narodowej. Można wszelako wątpić, czy państwa takie, jak Polska, nie „wyszłyby źle" na wolności handlu. Naszym ekonomistom uśmiecha się myśl wolnego eksportu do Niemiec, ale zapominają o tem, że system powszechnej wolności handlowej oznaczałby wolny wstęp płodów rolnych, hodowlanych i przetworów przemysłowych na wszystkie rynki światowe. Cena produktów rolnych i innych byłaby wówczas dyktowana przez kraje o najniższych kosztach produkcji i transportu i nie byłoby mowy o dzisiejszych cenach rynkowych w Niemczech. Korzyści z wolnego obrotu kapitałów i emigracji byłyby także wątpliwe, gdyż nie można zmusić kapitalisty do udzielania kredytu, i to taniego, krajom, do których wypłacalności nie ma zaufania, a o wolności emigracji decydować będą zawsze nie tylko warunki gospodarcze, ale także polityczne i społeczne. Pozostaje więc system układów prohibicyjnych, kontyngentowych preferencyjnych, przyjęty już przez szereg państw, w miejsce dogorywającego systemu „największego uprzywilejowania". Na tę drogę wstąpiła nawet liberalna W. Brytanja, która rozwinęła wiele inicjatywy w usiłowaniach zażegnania niebezpieczeństw kryzysu, zmniejszyła znacznie swój import i powiększyła eksport.

Prof. Grabski przewiduje coraz silniejsze różniczkowanie się typów kapitalistycznego ustroju w poszczególnych krajach, ponieważ każdy naród dążyć będzie do wytworzenia dla siebie najodpowiedniejszych form organizacyjnych. Dwa typy krańcowe widzi autor w typie demokratyczno-liberalnym francuskim i korporacyjno-faszystowskim włoskim, obok typów pośrednich.

Najważniejsze zadanie gospodarcze Polski, jako kraju ubogiego w kapitały i o niskiej stopie życiowej, widzi autor w stworzeniu warunków zwiększenia dochodu społecznego i kapitalizacji. Etatyzm i planowa gospodarka nie nadają się dla Polski, ponieważ nie stworzą tych warunków, a przeciwnie prowadzą do dalszego zubożenia kraju i w konsekwencji do bolszewizmu. Polska więc stanęła na rozdrożu dziejowem pomiędzy bolszewickim wschodem, a zachodnio-europejskim kapitalizmem i od ukształtowania się w najbliższej przyszłości stosunków politycznych oraz od stanu moralnych sił narodu zależeć będzie, którą z tych dróg pójdą dalsze nasze dzieje. Wobec tego, że jedyną naszą przewagą w konkurencji zagranicznej jest nasza niska skala życiowa i tania siła robocza, powinien realny program uprzemysłowienia Polski dążyć do rozwoju tych gałęzi produkcji, w których główną pozycję stanowią płace robocze i w których praca ręczna odgrywa większą rolę od urządzeń mechanicznych; po wsiach zaś do rozwoju przemysłu domowego i dochodowych gałęzi hodowli bydła i sadownictwa. Innemi słowy, jak słusznie bardzo wskazuje autor, Polska powinna rozwijać u siebie gałęzie średniej i małej produkcji przedsię-

biorczej, zamiast kusić się o przyswajanie sobie wielko-kapitalistycznych form organizacyjnych Zachodu.

Na tych wskazaniach kończy autor wyniki swej poważnej pracy naukowej. Całe dzieło Stanisława Grabskiego jest realnem wzbogaceniem naszej literatury ekonomicznej i socjologicznej, a przez poruszenie szeregu zagadnień ustrojowych toruje drogę i zachęca do dalszych naukowych studjów w tych dziedzinach.

Lwów STANISŁAW GŁĄBIŃSKI

TEOFIL LENARTOWICZ

(W 40-LECIE ZGONU)

NAPRZEKÓR pięknoduchom literackim, szerzącym kult słowa dla słowa, promienieje z grobu na Skałce duch poety, który był skromny i szczery. Nie dobierał kunsztownych słów, bo przychodziły mu same przy wtórze melodji prostej, mazowieckiej. „Najdzwonniejszym z poetów polskich" nazwał w swoim czasie Artur Górski Zaleskiego; był on istotnie nawskroś przepojony nutą dumki ukraińskiej. Ale w nie mniejszym stopniu Lenartowicz wziął w siebie nutę ludową polską; do tego stopnia, że szereg jego pieśni wszedł w mowę potoczną, i nie pamięta się już ich autora. To zespolenie się z ojczyzną, wyczarowaną w tęsknocie tułaczej pod niebem Florencji, daje Lenartowiczowi wielkie świadectwo serca.

Nie wolno zapominać, że wpływ Lenartowicza stroił Kasprowiczową lutnię; dobrze też przypomnieć sobie, co na ten temat powiedział Żeromski, omawiając potrzebę stworzenia akademji literatury polskiej.

Nawiązał wówczas do prześlicznego wiersza Pawlikowskiej p. t. „Lenartowicz":

„Złotniczeńku ty na niebie,
chcę pić życie, nie mam z czego.
Zrób mi kubek, proszę ciebie,
z szczerozłota gwiaździstego.
Otrzyj ręce twe z pozłoty,
którą złocisz świat pociemku —
dla miłości, dla tęsknoty
Zrób mi kubek złotniczeńku!"

„Powiedziano tu"—dodaje Żeromski—„że tamten, cichy i pokorny, „złocił świat pociemku". O, słowo skrzydlate, piękne i prawdy pełne! Znam niewydaną korespondencję Lenartowicza, leżącą w Rapperswilu, i wiem, że to określenie jest złote. W zapomnieniu, w dalekiej Florencji, w pustej rzeźbiarskiej pracowni, aż do ostatniego tchnienia „złocił świat pociemku". W wolnej Ojczyźnie uczciło jego duszę to arcydzieło nowoczesnej poezji... Ośmielam się... z pokorą i czcią ująć ten kubek szczerozłoty — napełniam go tęgiem winem entuzjazmu, na jaki mnie tylko stać, a którem się w życiu krzepiłem, i wznieść w ręce młodej poezji i młodego pisarstwa toast..."

Nie innych, nie potężniejszych, sławniejszych przywołał Żeromski, ale właśnie Lenartowicza, jak gdyby chcąc pouczyć rówieśnych, że głównie serce bijące stanowi o istocie dzwonu.

*

W formie i treści jest Lenartowicz prawem dziecięciem swojej epoki (1822—1893). Jako młody chłopiec, prawie samouk, wytrącony z ław szkolnych koniecznością zarobkowania na życie w kancelarji adwokackiej i sądowej, chwyta za pióro. Wolski, Filleborn, Zmorski są jego literackimi ojcami chrzestnymi. Od nich też bierze ideologję, której pozostanie wierny: ludowość.

Jest rzeczą znamienną, że tułaczka emigracyjna Lenartowicza, prowadząca go z początku poza kordon, a potem wiodąca go do źródeł ówczesnej emigracji, mimo najcięższych warunków materjalnych i skrępowania policyjnego, nie wytrąca mu ani na chwilę pióra z ręki. Pisze, drukuje, wydaje; prowadzi, co charakterystyczne dla ludzi owych czasów, obszerną korespondencję. Jeżeli chodzi o plon twórczości, to może w tym, pierwszym jej okresie jest najbardziej sobą. To Lenartowicz, którego nie zapomni Polska nigdy, jak niezapomni Karpińskiego za dwie skromne modlitwy, a Konopnickiej — za „Rotę".

Ludowość Lenartowicza, choć w melodji i tonie niezaprzeczona, była ludowością uszlachetnioną. Dlatego płytcy oceniacze tych spraw uważają za możliwe nazywać ją fałszywą i sentymentalną. Nic podobnego! Lenartowicz jest tu prekursorem, który do słownictwa poetyckiego wniósł wiele z języka ludu, a że nie szukał słów brutalnych, to nie każdy poczyta mu za stylowe *deminutio capitis*.

Drugim elementem twórczości Lenartowicza jest patrjotyzm, kojarzący się oczywiście z ludowością. Najdobitniej występuje to w „Bitwie Racławickiej". Poemat ten zasługuje i długo zasługiwać będzie, aby młodzież uczyła go się w urywkach na pamięć. Patrjotyzm przywiódł Lenartowicza w drugim okresie twórczości do szukania tematów historycznych, przeważnie z dziejów Polski i Słowiańszczyzny zachodniej. On też uczynił zeń żarliwego propagatora sprawy narodowej pośród Włochów.

Miłość Ojczyzny sprawiła cud: samouk znalazł w sobie moc, aby stać się na katedrze profesorskiej szerzycielem sławy literatury słowiańskiej, przełamanej przez pryzmat polskości. Jeżeli Włosi przez szereg lat wiedzieli coś o Polsce, jeżeli posłali nam niejednego bojownika za naszą wolność, stało się to również dzięki skromnemu rzeźbiarzowi florenckiemu. Studja ówczesne Lenartowicza przywiodły go do obejmowania także tematów ogólno-słowiańskich—i to dziś, zwłaszcza, powinno być podkreślone. Również podkreślić trzeba, w roku jubileuszowym odsieczy wiedeńskiej, że w 200-setną rocznicę tej potrzeby Lenartowicz opracowywał „Sobiesciana".

Nie to wszakże stanowi o obliczu poetyckiem Lenartowicza; nie to daje mu rangę pieśniarską w naszej literaturze. Dla nas będzie on zawsze przedewszystkiem śpiewakiem „Kaliny", autorem „Wiochny", „Zachwycenia" i „Błogosławionej" — lirnikiem mazowieckim. Będzie tym, który mocą serca i talentu śpiewankę pastuszą wynieść potrafił do królewskich wyżyn poezji.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

O KOSTJUM DWORSKI KRÓLOWEJ KORONY POLSKIEJ

W AKADEMICKIM KOŚCIELE św. Anny, dawniej bernardyńskim, znajdują się w kaplicy patrona Warszawy, wielkiego cudotwórcy i słynnego kaznodziei, błogosławionego Ładysława z Gielniowa dwa malowidła ścienne, pochodzące podobno z połowy XVIII wieku i przypisywane przez znawców Ojcu Walentemu Żebrowskiemu, bernardynowi, który około roku 1750 ozdobić miał — jak twierdzą kronikarze warszawscy — cały kościół freskami.

Jedno z tych malowideł wyobraża scenę wydobycia kości świętego zakonnika z piewotnego grobu, w którym spoczywały przez sześćdziesiąt siedem lat, póki nie przeniesiono ich do kaplicy. Uroczystość owa odbyła się w roku 1572 z inicjatywy prymasa Stanisława Karnkowskiego, w obecności króla Zygmunta Augusta, królowej Anny Jagiellonki, dwu kardynałów-legatów papieskich etc. etc.

Stara kronika klasztorna powiada, że „gdy kamień, leżący na grobie, z rozkazu biskupa w obecności wszystkich odsunięto, kości Błogosławionego nie w głębi ziemi, gdzie je po pogrzebie umieszczono, ale pod sam marmur się wzniosły i w porządku ułożone były, co z rozkazu Bożego, dla pociechy i pobożności wiernych, dziełem było Aniołów".

Otóż specjalnego smaku temu malowidłu nadaje fakt, że O. Walenty Żebrowski (o ile on jest fresku owego autorem) przyodział osoby przez siebie wyobrażone nie w kostjumy renesansowe, lecz w znacznie późniejsze. Stojący na pierwszym planie król Zygmunt August ma na sobie kontusz i żupan godny garderoby Sobieskiego. Cnotliwa Anna Jagiellonka pożyczyła fioków, rogówki i bufiastej roby od płochej królowej Marysieńki. Anachronizm ów jest największym powabem owego pobożnego malowidła, wykonanego zresztą bardzo rzetelnie i umiejętnie.

Malowidło drugie wyobraża — według tradycji — cud, który się przydarzył dnia 19 lipca 1663 r. bratu Eleazarowi Babskiemu, tercjarzowi.

Kronika klasztorna cud ów opisuje tak:

„Brat Eleazar Babski, tercjarz, który głuchym i ciężką chorobą głowy dotkniętym był, przez zasługi i wstawiennictwo błogosławionego Ładysława cudownie uzdrowiony został i od słabości i głuchoty uwolniony; modląc się do Najświętszej Dziewicy Marji — i z powodu bólu głowy omdlewając, gdy szedł przez dolny korytarz klasztorny, tenże błogosławiony Ojciec mu się ukazał".

Cytaty powyższe powtarzamy za książką Walerego Przyborowskiego p. t. „Z przeszłości Warszawy".

Przytoczywszy drugą z nich Przyborowski pisze:

„Scena ta... została... wymalowana na ścianie po lewej stronie ołtarza wielkiego. Artysta pojął ją w tymże samym guście barokowym, w jakim oddał scenę odkopania zwłok Świętego. Babski siedzi, a Matka Boska, ubrana jak jaka margrabina ze dworu Ludwika XV, we wdzięcznej pozie, się zbliża; obok niej Ładysław z brodą siwą i wejrzeniem wesołem."

Zaszedłszy do kościoła Bernardynów przekonać się można łatwo, że Matka Boska na fresku po lewej stronie ołtarza w kaplicy błogosławionego Ładysława ubrana jest w banalną, czerwono-niebieską rafaelowską draperję (czerwona szata i niebieski płaszcz) niczem jako żywo nie przypominającą świetnego kostjumu wersalskiego. Smutne to, ale prawdziwe: Królowa Korony Polskiej nie ma, niestety, już tej pięknej sukni, w której się objawiła... Waleremu Przyborowskiemu.

Czy miała ją kiedykolwiek?

Słyszałem, że gdzieś na Pomorzu istnieje obraz, przedstawiający scenę następującą: przed Matką Boską składa ukłon fundator kościoła. Z ust Madonny, ubranej w suknię z XVIII w., wychodzi francuski napis: — *Couvrez-vous mon chancelier*.

Bardzo możliwe, że za czasów baroku Królowę Korony Polskiej w stroju dworskim malowano częściej. Gdy się czyta poetów i kaznodziejów z XVII i XVIII wieku, widzi się ją chętnie w gorsecie i krynolinie. Może tak właśnie wyglądała na malowidłach, zdobiących zamek warszawski za Jana III, o których Sienkiewicz wspomina, cytując kazanie ks. Woynowskiego w powieści p. t. „Na polu chwały":

— Leci Matka Najświętsza co duchu do okienka i woła: „Bywaj Synaczku, obacz, jako Polacy atakują". Pan Jezus krzyżem świętym ich żegna: „Na rany Boskie, krzyknie: to mi szlachta! to mi żołnierze!" A święty Michał Archanioł aże się dłońmi po udach uderza: „W nich psubratów! Bij!".

W każdym razie podobne wizerunki Matki Boskiej — o ile istnieją — należą chyba do nadzwyczajnych rzadkości. Wydana przed paru laty monografja, poświęcona specjalnie Madonnom polskim, nie zawiera reprodukcji żadnego.

Wydaje mi się rzeczą niewykluczoną, że Przyborowski się pomylił. Z drugiej strony jednak nastręcza się pytanie, czy przypadkiem dzieła O. Żebrowskiego nie przemalowano? Przyborowski był pisarzem sumiennym i tak gorąco miłującym Warszawę, że trudno uwierzyć w nieścisłość jego informacyj.

Osobą najbardziej powołaną do wyjaśnienia nam tej zagadki jest obecny rektor kościoła św. Anny, czcigodny ks. Szwejnic.

Gdyby się okazało, że Walery Przyborowski naprawdę widział w kaplicy błogosławionego Ładysława obraz Matki Boskiej w kostjumie wersalskim, to opinja publiczna winnaby zażądać restauracji fresku.

Przypuszczam, że sprawa, którą poruszyłem, zainteresuje przedewszystkiem członków pobożnego bractwa św. Łukasza. Z pewnością w gronie ich znalazłby się artysta, któryby potrafił Królowej Korony Polskiej z warszawskiego kościoła Bernardynów (najbliższej sąsiadce Królewskiego Zamku) przywrócić strój właściwy. Strój taki, jaki zapewne do dnia dzisiejszego nosi Ona w Warszawie Niebieskiej.

STEFAN GODLEWSKI

NA WIDOWNI

Jedniodniówka „Pomoc Bliźniemu" — Wyniki pracy studentów—Rozwiązywanie kwestji socjalnej bez udziału miłosierdzia — Wartość moralna jałmużny — Idealizm i realizm młodego pokolenia.

LEŻY przedemną jednodniówka „Pomoc Bliźniemu", skromne, kilkustronicowe wydawnictwo, opowiadające o pracach i planach stowarzyszenia studenckiego tejże nazwy, należącego do Związku katolickich organizacyj młodzieży, skupiających się dookoła ośrodka, jakim od kilku lat stał się akademicki kościół św. Anny w Warszawie. Wyniki działalności czteroletniej nie są małe: „Sekcja świetlicowa prowadzi obecnie 10 świetlic dla dzieci w różnym wieku oraz klub dla starszych chłopców, ogółem 350 dzieci uczęszcza do tych świetlic... Od trzech lat „Pomoc Bliźniemu" co rok wysyła na kolonje lub do dworów przeszło 100 dzieci"... Zgórą setce dziatwy szkolnej udziela się bezpłatnych korepetycyj, zgórą tysiąc mieszkań nędzarzy odwiedzono, by przekonać się o ich stanie i potrzebach. A wszystkiego tego (i wielu innych rzeczy, jak prowadzenie bibljotek, zbiórka ciepłej odzieży i t. d.) dokonali akademicy, żywioł więc nie najmocniejszy gospodarczo, jak wiadomo, nie rozpieszczany też przesadnie przez „miarodajne" dziś w Państwie czynniki i w swej olbrzymiej większości pędzący dni pośród ciągłych szykan i przeszkód w robocie, w narażaniu się częstem, w konieczności ustawicznych ofiar i wyrzeczeń. Ubogim, pozbawionym zarobku dłoń pomocną podaje pokolenie, które dziś już lub za parę semestrów samo także staje wobec niebezpieczeństwa bezrobocia, wobec wielkiej, tragicznej walki o chleb powszedni, o „chleb w Polsce dla Polaków".

— — — — — — — — — — — — —

W dobie ostatniej, której zmierzch obecnie przeżywamy, dokonano nieoczekiwanego wynalazku: uznano mianowicie, iż rozwiązanie kwestji społecznej ogromnie popchnie się naprzód, jeżeli usunie się zeń pierwiastek miłości i dobroci. Miłosierdzie zwłaszcza potraktowano całkiem niemiłosiernie, widząc w niem przeciwieństwo racjonalnie pomyślanego programu rozwikłania trudności socjalnych, trapiących ludzkość. Najskrajniej, oczywiście, postawił sprawę komunizm, którego teoretyk Łunaczarskij doszedł do wniosku:

„My nienawidzimy chrześcijaństwa i chrześcijan; nawet najlepsi z nich muszą być traktowani przez nas jak najgorsi wrogowie. Oni głoszą miłość bliźniego i miłosierdzie, co jest przeciwne naszym zasadom. Chrześcijańska miłość jest przeszkodą w rozwoju rewolucji"[1].

Ale wogóle wśród polityków społecznych i ekonomistów jałmużna nie cieszyła się ostatnio dobrą opinją. Panujący pogląd uważał ją za poniżającą dla wspieranego, dążył też do takiego układu stosunków gospodarczo-socjalnych, by zapomoga potrzebującemu nie była, Boże broń, aktem miłosierdzia, lecz wynikiem odpowiednio zbudowanego systemu praw i urządzeń:

„Ogólnie (-(dawniej)-) panujące poglądy społeczne traktowały ten obowiązek (-(wspomagania ubogich)-) jako akt dobroczynności i miłosierdzia chrześcijańskiego. Dopiero najnowszy ruch społeczny sprowadził i na tem polu znaczną zmianę zapatrywań. Przejawiło się to na polu prawa do utrzymania w ten sposób, że zaczęto je uważać nie za dobrodziejstwo, lecz za ściśle określony obowiązek ogółu wobec potrzebujących. Jednostki, nie mogące się utrzymać, mają prawo żądać utrzymania od związków publicznych i to w wysokości, odpowiadającej ich wymogom stanowym. A ponieważ korzystanie z dobroczynności publicznej, mającej charakter dobrodziejstwa i łaski, jest czemś ubliżającem, przeto interesowani mają prawo..." i t. d.[2]).

Z tem „poniżeniem" zaszło jednak dosyć zabawne nieporozumienie. Nie ulega przecież wątpliwości, że otrzymanie czegoś zadarmo, bez odpłaty, nie jest rzeczą ubliżającą wtedy właśnie, kiedy dar udzielany jest z miłością. Dlatego inaczej przyjmuje się pomoc od obcych, obojętnych, aniżeli od rodziny lub przyjaciela. A w takim razie jedyną niemal nieupokarzającą formą wsparcia jest właściwie — jałmużna chrześcijańska.

Jeżeli spojrzeć na rzecz ze stanowiska skutków psychicznych, jakie wywołuje, widoczne jest, że jałmużna, w swojej zdrowej, niezwyrodniałej postaci, budzi uczucia dobre, przyjazne z obu stron, dającej i obdarowanej, i że w niej jednej, obok zaspokojenia potrzeb materjalnych, może znaleźć się miejsce na ów naddatek serca, legendarne róże, w jakie zmienił się chleb, który niosła św. Elżbieta, żeby rozdać głodnym nędzarzom. Czy powstałoby takie podanie o pieniądzach, wypłacanych przez urzędnika w kasie funduszu bezrobocia?

W starych miastach francuskich zobaczyć można dawne, niekiedy gotyckie jeszcze budowle, noszące osobliwą nazwę *Hôtel-Dieu*. To szpitale z przed lat kilkuset, dzieło bogobojności i miłosierdzia minionych wieków. Niewątpliwie, medycyna, hygiena, szpitalnictwo poczyniły od tamtych czasów imponujące postępy, jednakże musiały być w instytucjach owej epoki jakieś wartości, których dziś braknie, skoro nikt chyba nie wpadłby teraz na pomysł określenia lecznicy Kasy Chorych — słowami: Boża Gospoda. Podobnież technika obrotu pieniężnego, bankowość rozwinęły się znacznie, w porównaniu z okresem, kiedy ks. Piotr Skarga, powodowany duchem miłości bliźniego, zakładał w Krakowie bank pobożny *(mons pietatis)*. A przecież nikt dzisiaj, spoglądając np. na Bank Szereszewskiego albo „Bank Cukrownictwa", nie pomyśli sobie: oto są góry pobożności!

— — — — — — — — — — — — —

Sposób myślenia kończącej się epoki, którego kryzys dziś wszyscy odczuwamy, dość naturalnie wiódł do wiary w taki postęp organizacji politycznej i społecznej, że przy jej urzeczywistnieniu wszelka właściwie jałmużna i dobroczynność okaże się zbędna, bo każdy człowiek będzie „miał prawo", będzie mu „należało się" zabezpieczenie jego bytu i potrzeb przez odpowiednią po temu budowę form prawnego i gospodarczego ustroju. W przewidywaniu tej szczęśliwej doby, która nadejdzie, zawczasu już usuwano skwapliwie z życia zbiorowego pierwiastek miłosierdzia i dobroci.

Młode pokolenie orjentuje się, że ta cała konstrukcja ugina się, chyli ku katastrofie, że co-

---

[1]) Cytuje Henryk Glass: „Zamach bolszewizmu na młodzież. Dokumenty". Warszawa—Płock. 1927 r., str. 25—26.

[2]) Karol Gide: „Zasady ekonomji społecznej", Warszawa, 1914. Str. 564 (przypis pióra prof. Włodzimierza Czerkawskiego).

raz mniejsze i coraz to mniej pewne dawać zaczyna rękojmie bezpieczeństwa. Widzi ono, że przyszłość przed niem niełatwa, wymagająca walk, wysiłków, grożąca niedostatkiem, a tem samem bardziej zdolne jest po chrześcijańsku pojmować życie, z całą, nieuniknioną jego nędzą i trudem, i z tem również, co stanowi jego świętość i piękno.

To jest właśnie realizm młodych. Chcą budować ustrój, w którym *Charitas* byłaby fundamentem, nie zaś tworzyć jakiś nowy, fikcyjny świat, w którym wogóle stałaby się ona niepotrzebną.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

W NOWYM YORKU ŻYDZI URZĄDZILI WIEC ANTYHITLEROWSKI. Jeżeli wierzyć korespondentowi „Naszego Przeglądu", był to „najpotężniejszy *monster-meeting* protestacyjny, jaki widział Nowy York lat ostatnich". Było na nim 25.000 osób, a 60.000 z braku miejsca słuchało megafonów na ulicach. Przemawiali pp. dr. Tennenbaum, dr. Margoszes, Kahane, Rothenberg, Chaim Greenberg, Goldberg, dr. Wise oraz „biskup protestancki Mac Connnel", burmistrz O'Brien, senator Wagner; — *clou* wieczoru — p. Alfred Smith, b. kandydat demokratów na urząd Prezydenta Stanów. Otóż p. Smith miał powiedzieć m. in: „Kraj, który buduje swój byt na nietolerancji, musi prędzej, czy później paść. Kiedy Hiszpanja wypędziła żydów, był to początek jej końca. Miejmy nadzieję, że nowoczesne Niemcy nie pójdą w ślady średniowiecznej Hispanji".

Jeżeli sprawozdanie z przemówienia jest wierne, świadczy o tem, jak nizki jest poziom mężów stanu w Ameryce i jak słaba ich znajomość historji. Mniejsza już o przymiotnik „średniowieczny", użyty na określenie Hiszpanji Ferdynada i Izabelli, owej renesansowej pary protektorów Kolumba. Ale czy rzeczywiście wypędzenie żydów z Hiszpanji było początkiem jej końca?

Spójrzmy na daty. W tym samym roku 1492, w którym królowa Izabella podpisuje edykt, pozostawiający żydom wybór między wychodźtwem a chrztem, Christobal Colon uzyskuje od niej niezwykłe wprost w swej hojności przywileje i wyrusza w pierwszą swą wyprawę, przywożąc w darze nowy kontynent i tworząc w ten sposób państwo, w którem nie zachodziło słońce. W latach następnych Izabella zakłada dwie wielkie bibljoteki: w Toledo i w Escurialu. W latach 1507-1531 powstają i rozkwitają uniwersytety w Alcala, Sewilli, Toledo, Granadzie. Rozkwita humanizm. W roku 1516 wnuk Izabelli, Karol wstępuje na tron hiszpański, w trzy lata później zostaje Królem Niemieckim, w 1530 r. wkłada na skronie koronę cesarską i staje się najpotężniejszym władcą od czasów Karola Wielkiego. Berłu jego, a później Filipa II i Ferdynanda podlega: Hiszpanja (od 1580 również Portugalja), całe niemal Włochy, większość Burgundji z Niderlandami, cała Rzesza Niemiecka, Czechy i część Węgier. W Afryce — szereg fortec, trzymających w szachu Maurów, a za oceanem — cztery dumne królestwa, pod władzą wicekrólów. Hegemonja Hiszpanji trwa aż od czasów, gdy Henryk IV, a potem Richelieu wywalczają Francji przewagę. Sto lat niezmąconej niemal potęgi, sto lat hegemonji europejskiej — nie jest to rzeczą małą. A później rozkwita wspaniale twórczość hiszpańska: Calderon, Cervanates, Velasquez—oto pomniki chwały, które przeczą tezie p. Smitha. Przed Izabellą i Ferdynandem wogóle nie było Hiszpanji, były tylko niezależne, skłócone królestwa. Po Izabelli rozpoczął się okres, niebywały w dziejach. Gdzież tutaj „początek końca"?

Fałsze historyczne są bronią bardzo skuteczną. W rękach narodu bez skrupułów (a takim są żydzi) stają się wręcz szkołą dla świata, chcącego być oszukiwanym. Ale fałsze takie nie mogą być zbyt bezmyślne. Wtedy wywołują tylko śmiech i wzgardę. Dla oszukujących, a jeszcze więcej dla oszukiwanych.

JESZCZE O POLITYCZNYCH POGLĄDACH NORWIDA

Otrzymujemy uwagi następujące:

W UZUPEŁNIENIU artykułu, który w norwidowym numerze „Myśli Nar." omawiał poruszone poniżej zagadnienie, pragnę zwrócić uwagę na kilka myśli, zawartych w utworze p. t. „Niewola", w których N. wypowiada b. prosto swe zapatrywania na zagadnienia zasadnicze (dziś, jak i zawsze, aktualne), a niestety przez jednych nierozumiane, przez innych świadomie zwalczane i zaciemniane, choć w rzeczy niezłożone i jasne.

Pierwsze z niżej przytoczonych zdań, wyjęte ze wstępu do czytelnika, jakim N. zaopatrzył swój utwór, inne z samego poematu. Właściwie należałoby przytoczyć w całości, ale niech tych kilka wyjątków zwróci nań uwagę czytelników.

Norwid odpowiada sobie sam na postawione pytania, dzieląc odpowiedzi na trzy grupy, dlatego też opatrzyłem liczbami porządkowemi przytoczone wyjątki. Oto one[1]):

„...Mam zupełną wiarę, i wiem nawet, że osoba — narodu, w niejawności fatalnej pochowana (-(!)-), jeżeli sobie przytomny ma całokształt idei swojej, wzrastać może i wzmacniać się w sobie, walcząc sobą".

1. „...Niewola jest to formy postawienie na miejscu celu".

„...Wolność, jest to celem przetrawienie doczesnej formy".

2. „...—W człeka istocie niewola jest z ciała, skoro je za cel duch postawi sobie; w Narodzie — z formy, choćby doskonała, choćby to była z form przednia na globie, jeśli się celem nie zaś środkiem stała".

3. „Naród, że cierpi, więc nie jest ideją, ale wcieleniem żywem, organicznem, istotą rzeczy... Uzacnić chcę ją bytem politycznym, a bytem formy tej, którą zasłużył, by nie kształt jego, lecz on kształtu użył, by mówię, wolnym był, nie służył ciału, przez stopnie idąc form do ideału".

I jeszcze:

„Wierzę, że naród trwa, bo cierpi noże; wiem, że organizm tylko krew lać może — wierzę, iż główną przeto powinnością znać ów organizm, krzepić go miłością".

I jeżeli Norwid myśli swoje wykładał niezawsze dość jasno, to chyba powyżej przytoczone wyjątki są dostępne, możnaby rzec, dla dzieci. Miło jest człowiekowi „zwykłemu", kiedy znajduje zgodność we własnych zapatrywaniach na rzeczy zasadnicze z myślami wybitnych przywódców narodu.

JAN SILLER

[1]) „Wybór poezyj" C. N., B. N. Nr. 64, serja I.

NAUKA I LITERATURA

„STUDIA GNESNENSIA“

FILOZOFJA neoscholastyczna, której rozwój na zachodzie Europy przybrał w ostatnich czasach wprost imponujące rozmiary (jest to, co do ilości uprawiającąch ją autorów, wielości i różnorodności publikacyj może najpotężniejsza obecnie szkoła filozoficzna na świecie, a przytem bezwątpienia najbardziej w zasadniczych punktach swego światopoglądu jednolita i zgodna), rozwijała się w Polsce już przed wojną światową, wydając cały szereg pisarzy, nieraz wybitnych, jak o. M. Morawski S. J., ks. Fr. Gabryl i inni. Aczkolwiek rozwój jej w ostatnich czasach nie może zupełnie jeszcze dorównywać temu, co się dzieje na Zachodzie (dość wspomnieć, że w Polsce niema dotychczas ani jednego czasopisma, specjalnie poświęconego filozofji neoscholastycznej, podczas gdy wogóle na świecie ukazuje się takich wydawnictw kilkadziesiąt, a nawet w okrzyczanych z nieprzyjaźni do katolicyzmu Czechach wychodzi już od paru lat świetnie redagowany przez oo. Dominikanów z Ołomuńca kwartalnik: *„Filozofická Revue“*, mający przytem nakład większy, niż wszystkie inne czeskie czasopisma filozoficzne razem wzięte), to jednak można stwierdzić znaczny przypływ nowych sił naukowych i ukazanie się całego szeregu cennych publikacyj.

Śród druków tego rodzaju zasługuje na uwagę wydawnictwo seryjne: „*Studia Gnesnensia*“, ukazujące się od 1930 r. w Gnieźnie, z inicjatywy i pod redakcją ks. doc. dr. Kazimierza Kowalskiego. Dotychczas ukazało się 5 tomów, cztery z zakresu filozofji, jeden z zakresu teologji [1]).

W „Podstawach Filozofji“ ks. K. Kowalski, po próbie określenia istoty i zakresu filozofji w ujęciu scholastyków, a także określeniu jej stosunku do innych nauk, daje treściwy wykład neoscholastycznej teorji poznania (deklarując się przytem jako zwolennik t. zw. „realizmu bezpośredniego“) i ontologji. Jasny i przystępny sposób wykładu, a także bardzo obfita literatura czynią tę książkę pożyteczną dla tych, którzyby chcieli zaznajomić się z elementami filozofji neoscholastycznej.

Obszerne, dwutomowe dzieło senjora tomistów polskich, ks. prof. dr. Kazimierza Waisa p. t. „Kosmologja szczegółowa“ jest poświęcone filozofji przyrody żywej i martwej. Część pierwsza zawiera omówienie świata roślin i zwierząt, różnice, jakie zachodzą między niemi i odnośnie do człowieka, a także zagadnienia poznania zmysłowego zwierząt. Przedewszystkiem jednak książka zawiera uzasadnienie i obronę poglądu hilemorfistycznego na życie, poglądu, który tyle zyskał na mocy dzięki badaniom Dinsch'a i jego szkoły nad zjawiskiem regeneracji (jak wiadomo, badania te doprowadziły do powstania w biologji t. zw. teorji neovitalizmu, zbliżonej do hilemorfizmu arystotelesowsko-tomistycznego). Dużo miejsca jest poświęcone zagadnieniu powstania życia i teorji ewolucji, przyczem autor wypowiada się stanowczo przeciwko jakiejkolwiek teorji samorództwa, wykluczającej akt stwórczy Boga. Co do teorji ewolucji, to po omówieniu różnych dotychczasowych teoryj i wykazaniu słabych ich stron, przedewszystkiem zaś teorji Lamarck'a i teorji doboru naturalnego Darwina, autor nie wypowiada się stanowczo ani za, ani przeciw niej, dopuszczając możliwość umiarkowanej ewolucji, w rodzaju teorji znakomitego badacza życia mrówek, niedawno zmarłego, o. Friza Wassmanna S. J. Część druga dzieła jest poświęcona ciałom nieorganicznym. Po omówieniu ogólnych własności ciał, są obszernie rozpatrywane teorje atomizmu, mechanizmu i dynamizmu, przyczem i co do przyrody martwej autor opowiada się stanowczo za hilemorfizmem. Chociaż wywody, przytoczone w „Kosmologji szczegółowej“ ks. Waisa, są naogół znane i spotykane u innych autorów tego kierunku, to jednak ogromny materjał historyczny, moc faktów przyrodniczych, podanych w książce, olbrzymia literatura, na której się opiera, sprawiają, że może ona być bardzo wartościową dla wszystkich, interesujących się filizofją przyrody, nawet gdyby nie byli zwolennikami światopoglądu tomistycznego.

Praca o. dr. Inocentego Bocheńskiego O. P. jest tezą doktorską, przyjętą przez Uniwersytet Fryburski (Szwajcarja) i omawiającą sumiennie teorję poznania M. Straszewskiego. Należy tu nadmienić, że jest to wogóle pierwsza praca naukowa, poświęcona temu wybitnemu filozofowi polskiemu, a że przytem jest wydana po niemiecku więc będzie mogła informować o nim zagranicę. „Zagadnienie Piękna“ ks. K. Kowalskiego jest krótkim i dość pobieżnym zarysem estetyki tomistycznej.

Ściśle teologiczna, bardzo erudycyjna praca ks. dr. Antoniego Słomkowskiego jest studjum historycznem nad nauką św. Augustyna o zmianach, jakie zaszły w człowieku na skutek grzechu pierworodnego. Rozprawę tę można uważać za dalszy ciąg poprzedniej pracy tegoż autora, wydanej w języku francuskim: „*L'état primitif de l'homme dans la tradition de l'Eglise avant saint Augustin*“. (Paris, Sabalda, 1928). Książka ta jest wybitnym przyczynkiem do studjów nad św. Augustynem, do studjów które tak świetnie rozwinęły się w ostatnich czasach w Polsce i które zasługują na specjalne omówienie.

LAMBDA

[1]) *„Studia Gnesnensia“*. Skład główny w księgarni św. Wojciecha w Poznaniu.

Tom I. Ks. dr. Kazimierz Kowalski: „Podstawy filozofji“. Gniezno. 1930. Str. 272.

Tom II. Ks. dr. Kazimierz Wais: „Kosmologja szczegółowa“. Część I. Gniezno. 1931. Str. 392.

Tom III. Dr. Inocenty Bocheński O. P.: *„Die Lehre vom Ding an sich bei Straszewski* (1848—1921)“ i Ks. dr. Kazimierz Kowalski: „Zagadnienie Piękna“. Gniezno-Lwów. 1932. Str. 105 + 96.

Tom IV. Ks. dr. Kazimierz Wais: „Kosmologja szczegółowa“. Część II. Gniezno. 1932. Str. 172.

Tom V. Ks. dr. Antoni Słomkowski: „Pierwotny stan człowieka według nauki św. Augustyna“. Studjum z historji dogmatów. Gniezno-Lwów. 1933. Str. 180.

ZE ŚWIATA LITERATURY I SZTUKI

Zdarzyło mi się słyszeć (i to na wsi, bo w mieście niema na to czasu) trzy audycje radjowe, poświęcone C. Norwidowi z powodu 50-tej rocznicy śmierci. 10 maja p. R. Zrębowicz wygłosił życiorys poety, pełen entuzjazmu, ale nieścisły w przytaczaniu nielicznych faktów, już ustalonych w literaturze, fałszywy w charakterystyce.

W dn. 18 maja tenże krytyk zorganizował słuchowisko muzyczne i deklamacyjne. Opracowano „Kleopatrę“ Norwida. Bogatą muzykę na motywach starego Egiptu skomponował na ten cel p. Stan. Nawrocki. Djalogi główne wygłosili pp. Modzelewska i Jaracz (Kleopatra i Cezar), w innych rolach wystąpili: Samborski, Boelke, Broniszówna. Teksty użyte w chórach zginęły dla słuchacza. Muzyka interesująca. P. Zrębowicz w prelekcji pominął zupełnie, że Norwid przez usta Kleopatry, Cezara i wieszczki wykłada plastycznie teorję historiozoficzną ówczesnej filozofji idealistycznej niemieckiej, według której dzieje są widownią dramatycznego wyczerpywania się przeznaczonych poszczególnym cywilizacjom idej. Koncepcję tę przyswoił Norwid koło r. 1843 z czasopism poznańskich.

W dn. 19 maja p. Tadeusz Makowiecki wygłosił (w przerwie podczas koncertu symfonicznego w Filharmonji) krótki wykład p. t. „Tajemnica stylu Norwida“. Sekret tego stylu prelegent upatrzył potrójny: 1) Wszystko, co Norwid pomyśli, pomyślane jest „serjo“. Każda decyzja artystyczna jest serjo, tutaj chodzi pewno o namaszczenie profetyczne; 2) Umiejętny użytek, robiony przez poetę z prostych słów, zwanych „białemi“; 3) tamten środek kombinowany z zasadą „przemilczeń“.

Wszystkie trzy audycje zawdzięczamy gorliwości radja warszawskiego. Czwartej, nadanej 20 maja z Wilna, którą wygłosił p. Z. Falkowski („Wizerunek Norwida“), nie udało mi się słyszeć. (W.)

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Powieść obyczajowa Izabelli Lutosławskiej „Córka", drukowana pierwotnie w „Kurjerze Warszawskim", a potem wydana w wydawnictwie „Roju", jest bodaj najlepszym utworem w dotychczasowej produkcji utalentowanej autorki. Notatkę o tej powieści dajemy z opóźnieniem, firma nakładowa bowiem ignoruje naszą placówkę literacką, zmuszeni więc byliśmy szukać egzemplarza na mieście. Dostał się nam dobrze podniszczony, co świadczy, że powieść jest pilnie czytana. Nic dziwnego. W miarę drastyczna, opowiedziana żywo i pogodnie, ma dla szerokiego ogółu, zwłaszcza niewieściego, wiele powabu jako obserwacja, dokonywana zblizka, pod kątem dogodnym dla każdego, kto zżyty jest dobrze z wnętrzem szlacheckiego domu polskiego. Ci, co w mieście, też są ze wsi, a duża część powieści ma za teren dwory wiejskie.

Tematem ideowym jest zagadnienie rodziny, polskiemu czytelnikowi dobrze znane, jeśli nie z przeświadczeń osobistych, to z obyczaju, z etycznego przekazu pokoleń. Autorka umie w tym zakresie operować faktami z życia codziennego, dobrze podpatrzonemi, w sposób przekonywający, bez uciekania się do moralistyki, czy też do pogłębień psychologiczno-społecznych. Rzecz utrzymana w gładkim poziomie stosunków towarzyskich, bogom domowym poświęcona; budzi żywe zainteresowanie bieg wypadków, ale głównie wiąże czytelnika samo stanowisko autorki, pełne sympatji dla bohaterów i przejęcia, z jakiem traktuje drobne posunięcia towarzyskie. Jest w tem wiele finezji dyplomatycznej kobiecej, a w formie literackiej dużo szkoły Sienkiewicza.

Trzeba przyznać, że wśród powieści spółczesnych z zacięciem satanicznem, lub wyśrubowanych na wyżyny studjów społecznych, czytelnik tutaj wypoczywa i zupełnie zgadza się z autorką na sposób, w jaki zagadnienie panny Zazy rozwiązuje. (W.)

*

Pojęcia świata niewidomych nie tylko różnią się od pojęć normalnych, zdrowych ludzi; pełne licznych i różnorodnych wydarzeń, mogą na swój sposób stać się interesujące. Takie przekonanie pozostawia książka Heleny Boguszewskiej — „Swiat po niewidomemu", przepojona niefałszowanem współczuciem i sympatją dla niewidomych dzieci, wśród których autorka się obraca. Boguszewska daje obraz życia Zakładu dla Ociemniałych w Laskach.

Są tam dziewczęta i chłopcy w różnym wieku, malcy pięcioletni i dorośli prawie ludzie, zajęci w drukarniach, szwalniach i przy robotach koszykarskich. Najwięcej miejsca poświęca autorka dzieciom młodszym; opowiada o ich pracach i zabawach w różnych porach roku, jak zakładanie i pielęgnowanie ogródków, wspólne czytanie, śpiewy, przechadzki, pieczenie kartofli, gry na powietrzu, szycie dla lalek i t. d. Szkice nowelistyczne Boguszewskiej stanowią zamknięte całości, opisujące charakterystyczne przeżycia dzieci, czy to będzie polewanie grządek, czy spacery, czy nawet schwytanie żaby, lub „ćwierka". Bo drobne, codzienne zdarzenia są dla nich jedną z form poznawania świata, który zawsze świeży, często jest — ze względu na wiek dzieci — odczuty po raz pierwszy.

Autorka w sposób bardzo prosty a wnikliwy uwydatnia tę wrażliwość małych niewidomych wobec napotykanych zjawisk. Czasem wystarczy mała scenka, rozmowa lub poprostu kilka niewyszukanych słów. Reagują na wszystko równie silnie i bezpośrednio. Pozatem są to najzwyklejsze dzieci: tak samo cieszą je zabawki, kąpiel, własne grządki i tysiące drobnych rzeczy, które starszym wydają się błahe, a które dla dzieci mają zawsze wiele uroku. Zdawałoby się nawet, że nie odczuwają kalectwa, tak są pochłonięte wrażeniami pozawzrokowemi. To jednak jest złudzeniem, bo każde dziecko wie dobrze o swem nieszczęściu, chociaż niedokładnie jeszcze zdaje sobie z niego sprawę. Są tu dzielni malcy, którzy nie chcą się rozczulać, ale są i tacy, którzy rozumieją każde słowo współczucia i tłumaczą je na swój sposób.

Dużą rolę gra w ich życiu przyzwyczajenie do świata niewidomego; np. mały Karol, który odzyskał wzrok, zamyka oczy i jak inni chodzi z wyciągniętemi rękami, nie cieszy się zbytnio z odkrytego dziś świata wszystkich, skoro wczoraj nosił pod powiekami świat własny. Los biednych dzieci opromienia ciągła współpraca z siostrami; te łagodne i pełne poświęcenia istoty mają dla nich w każdej chwili słowa otuchy i wyrozumienia. Teatry amatorskie, „gwiazdki" lub chóry śpiewacze są również dziełem sióstr; dlatego właśnie wnoszą one do smutnego zakładu w Laskach tyle spokoju i cierpliwości.

Pogodny nastrój panuje wśród tych ludzi, związanych wspólnem kalectwem i pogodna jest książka Boguszewskiej: otwiera przed nami świat nieznany, który liczy w sobie wiele radości i smutków. (Z. S.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Pożytecznem bardzo dziełem jest *„L'Action Catholique Trad. franc. des Documents pontificaux" (1922 — 1932 Maison de la bonne presse).* Książka bardzo ważna dla tych, którzy pragną zorjentować się należycie w działalności Akcji Katolickiej, w jej celach i zadaniach oraz w jej stosunku do spraw politycznych, społecznych i wychowawczych katolickiego świata. Złożyły się na nią encykliki, listy i przemówienia Ojca św., akty kongregacyj rzymskich, akty sekretarjatu w Watykanie, oraz dokumenty dyplomatyczne, dotyczące konkordatów z niektóremi krajami Europy, wreszcie dokumenty, związane z działalnością Akcji Katolickiej we Włoszech. Spis rzeczy, najpierw zwykły, potem chronologiczny, ułatwiają szybkie orjentowanie się w całości książki, którą przekład na język francuski czyni znacznie dostępniejszą dla szerokich mas katolickich. (M. D.)

—

ZE ŚWIATA SZTUKI

WYSTAWIAJĄCA obecnie w IPS-ie grupa „Pryzmat" została założona w roku 1930. Składa się — jak głosi wstęp do katalogu — „w większości z byłych uczniów prof. Kowarskiego, oraz malarzy złączonych z nimi wspólną ideologją plastyczną". Ponieważ wystawa jest pierwszem wystąpieniem zbiorowem grupy, wymienimy jej skład: Adwentowicz Lucjan, Bossowski Stefan, Dutkiewicz Józef, Jaeschke Marjan, Kononowicz Zenon, Kossowski Adam, Larisch Karol, Ładówna Krystyna, Pękalski Leonard, Ruszkowski Zdzisław, Rużycka Marja, Siemiradzki Michał, Sokołowski Jan, Studnicki Juljusz, Szulczewska Marja, Taranczewski Wacław i Wodyński Jan.

Przytoczyłem ten nieco przydługi spis nazwisk, gdyż dalej będą mówił o grupie jako jednostce z powodu jej zdecydowanej jednolitości, a raczej jednostajności; trzeba więc, by czytelnik wiedział, do kogo moje określenia mają się odnosić. „Pryzmatyści" podali się za uczniów Kowarskiego; urabia ideologię grupy także drugi pedagog, a obecnie jej członek, wymieniony już prof. L. Pękalski. Dla orjentacji również dodam, że za sympatyka i wyznawcę podobnych poglądów malarskich możemy uważać T. Czyżewskiego.

Wspólne są całej grupie jednakie założenia kolorystyczne, wspólna ich zbytnia wyłączność w stosunku do pozostałych stron zagadnienia kompozycji malarskiej. Ujmując wspólnotę od strony najbardziej zewnętrznej, zobaczymy tu niemal tożsamość techniki: nieskończoną liczbę drobnych plameczek-centek, lub maźnięć na płótnie, z nierzadko prześwitującą bielą gruntu. Sięgając głębiej, stwierdzimy próby zestawień barwnych, swobodnie traktujących naturę i w zestroju kompozycyjnym, starających się nie naruszyć płaszczyzny obrazu.

Postawa „pryzmatystów", w tym zakresie, jest najbardziej czynna i konsekwentna, choć całkiem niepotrzebnie zubożają się, odrzucając walor i plastyczny, lecz miękko i po malarsku pojęty światłocień (często stosowany przez Pankiewicza). Przedewszystkiem jednak razi niedbanie o dobrą budowę obrazu, o logiczny, zwarty i rytmiczny układ kształtów, zagarniętych ze świata widzialnego i jako jego wycinek rozmieszczanych na płótnie. Obrazy są przeważnie — jakby tu się wyrazić? — roztrzęsione, wszelki kształt, nieutrzymany w dyscyplinie rysunkowej, rozpada się i rozlatuje. Ta nieumiejętność czy niedbalstwo rysunkowe jest grzechem wobec naturalizmu, gdyż, mimo pozorów, mogących zmylić laika, rysunek „pryzmatystów" — naogół biorąc — ma tworzyć formy naturalistyczne.

Brak interpretacji kształtu, przy jednocześnie daleko idących poszukiwaniach kolorystycznych, za błąd poczytywany być nie może; artysta sam ustala krąg swych zainteresowań. Chodzi jednak o to, by przy dobrym kolorycie np., rysunek i kompozycja przynajmniej nie raziły: wszystkie te wartości razem składają się na zadanie malarskie i pozbyć się którejkolwiek z nich, na korzyść innych, nie jest tak łatwo, jak to się „pryzmatystom" wydaje. Stanowisko, zajęte przez „Pryzmat", swą krańcową jednostronnością w pojmowaniu zagadnień plastyki przypomina inną wyłączność, stosowaną przed laty przez impresjonistów.

Z dzieł „pryzmatystów" wyodrębnia się, głębszem i bardziej pełnem ujęciem, duża kompozycja figuralna Pękalskiego, wolna od wielu, przytoczonych wyżej, usterek.

*

W salonie „Polskich Art.-Plastyków" na Marszałkowskiej, wystawiła p. Anna Berentowa. Prace artystki, kolorystycznie skromne, w technice dość oschłe i ubogie, odznaczają się dużą rzetelnością rysunkową. Uszlachetnia je (zwłaszcza niektóre kompozycje) wyraz pewnego uduchowienia, świadczący o poważnym, głęboko-uczuciowym stosunku malarki do pracy. W wyrazie tym przeważa nuta niemal ascetycznego skupienia.

WIKTOR PODOSKI

TEATR

„PTAKI" W TEATRZE POLSKIM

„PTAKI" Arystofanesa są równocześnie poematem dramatycznym i satyrą polityczną. Poezja ich jest wiekuista. Przetrwała do naszych czasów w nieprzywiędłej świeżości. Prześliczna piosenka Dudka, budzącego słowiczkę, wzrusza nas dziś tak samo, jak wzruszała ateńczyków dwa tysiące trzysta czterdzieści sześć lat temu na prapremjerze „Ptaków" w roku 414 przed narodzeniem Chrystusa. Inaczej rzecz się ma z satyrą polityczną. Jest ona dla nas zupełnie niezrozumiała bez komentarza historycznego. Ale nawet znając stosunki polityczne, panujące w ojczyźnie Arystofanesa, nie jesteśmy dzisiaj w stanie przejmować się niemi w tym stopniu, w jakim przejmowali się niemi ówcześni Ateńczycy.

Pan Bernard Zimmer, dowcipny paryżanin, wpadł na pomysł, żeby wobec tego „Ptaki" unowocześnić. Zachowawszy w kształcie niezmienionym to wszystko, co stanowi w utworze Arystofanesa poemat dramatyczny — zastąpił partje satyryczne własnym tekstem. Zwietrzałe do cna aluzje polityczne zaktualizował, wychodząc z założenia, że sytuacja świata po wojnie dziesięcioletniej Aten ze Spartą posiada pewne (grubo zresztą naciągane) analogje z sytuacją dzisiejszą.

P. Juljan Tuwim przełożył tekst p. Bernarda Zimmera na polszczyznę, uposażywszy go w słopiewnie własnego wynalazku i upstrzywszy mnóstwem dowcipów kabaretowych, zmieniających charakter sztuki do niepoznania.

Wiersze w przekładzie pana Tuwima są miejscami naprawdę bardzo ładne. Tuwim zdaje się znać język ptasi równie dobrze, jak język polski. Arystofanes napewno nie miałby do niego najmniejszego żalu za przekład poetyckich partyj utworu:

O biedni, słabi ludzie
do listków wątłych podobni,
potworki z gliny i błota
cienie bezsilne, znikome,
bez skrzydeł, bez pieśni, bez piórek,
słuchajcie nas nieśmiertelnych,
wolnych, radosnych, śpiewnych,
wiecznie młodych, niezienıskich,
słuchajcie podniebnych śpiewaków!
(Chór): — Słuchajcie, słuchajcie ptaków!

Jeszcze piękniej tłumaczy Tuwim ćwierkania, kląskania, gruchania, tryle, etc., wykorzystując przytem umiejętnie cały skarbiec poezji polskiej i wtrącając bardzo pomysłowo w tekst arystofanesowski wiersze poetów polskich, np. Mickiewicza: — „Hej sowy, puhacze, kruki"!

Gdybym był Arystofanesem, nie żywiłbym o to do pana Juljana Tuwima żadnej zgoła pretensji.

Zaprotestowałbym jednak stanowczo przeciwko wypaczaniu myśli przewodniej utworu. Zamiarem Arystofanesa nie było ani ośmieszanie nacjonalizmu, ani propaganda pacyfizmu. Arystofanes występował przeciwko wojnie domowej ze Spartą, nie zaś przeciwko wojnie wogóle. Arystofanes był nacjonalistą. Marzył o zjednoczeniu wszystkich Hellenów w jednem państwie.

W satyrycznych partjach transkrypcji pana Juljana Tuwima znajduje się bardzo dużo dowcipów niesmacznych. Arystofanesowskiego poetę dytyrambicznego Kinezjasza zastąpił pan Juljan Tuwim postacią, wymyśloną przez siebie, będącą według jednych karykaturą Marinettiego, według innych zaś — autoportretem.

Poeta ów tak się przedstawia publiczności:

— Jestem poetą, szefem stworzonej przezemnie szkoły poetyckiej urbobarbarystycznej. Będę z najgłębszego przekonania opiewał ustrój państwowy, który zaprowadzisz o Wodzu! Czy mogę wiedzieć jaki, to będzie ustrój?

Pożartujmy sobie trochę.

Treść powyższej deklaracji politycznej całkowicie zgadza się z pojęciami, jakieśmy sobie oddawna o panu Tuwimie urobili. Czy zgadza się również z pojęciami, jakie mają o nim jego przyjaciele „pułkownicy"?

Gdybyśmy byli „pułkownikami", szczerze miłującymi Wodza i nie z żadnego tam „najgłębszego przekonania", lecz poprostu z subordynacji żołnierskiej utwierdzali ustrój przez niego podyktowany, tobyśmy przezwanie utopisty — dyktatora Druhorada (Peisthetajrosa) — Machlojkiosem poczytali za wybryk niesmaczny.

Nikt nas nie posądzi o sprzyjanie dyktaturze. „Pułkownikami" nie jesteśmy. A jednak Nowaczyński — Arystofanes naszego obozu nigdyby sobie na coś równie trywialnego nie pozwolił.

Domyślamy się, co nam pan Juljan Tuwim na swoją obronę odpowie.

Odpowie nam zapewne, że już w starym przekładzie Bogusława Butrymowicza na str. 38 („Bibljoteka Narodowa") Peisthetajros sam siebie przezywa jeszcze trywialniej:

— Fajdek me miano. Fajdek z Procesowa.

Swoim przyjaciołom „pułkownikom" p. Juljan Tuwim oczywiście powie co innego. Przysięgnie im na swoje przekonania, że jego Machlojkios — to poprostu synteza Mussoliniego, Hitlera, Lenina i Stalina. Świadczą o tem przecież inicjały tych dyktatorów, umieszczone bardzo sprytnie na początku, w środku i na końcu owego wyrazu. Powoła się następnie na swój sławny wiersz o karabinie. Wszak jest rzeczą ponad wszelką wątpliwość dowiedzioną, iż pisząc go i drukując w „Robotniku", nie namawiał bynajmniej polskich rekrutów do rzucania broni. Gdzież tam! Szło mu o rekrutów abstrakcyjnych, urojonych. To była najczystsza poezja.

Wracając do „Ptaków", to istniejąca w oryginale greckim scena defekacji Peisthetajrosa nie została w teatrze Polskim pokazana. Widowisko zmontowano kosztownie i wspaniale. Nie wiem, czy dorównano paryskiej inscenizacji „Chanteclaire'a", przewyższono jednak pomysłowością i efektownością kostjumów i dekoracyj redutowego „Czupurka". Kostjumy projektował pan Władysław Daszewski. Dekoracje pan Stanisław Śliwiński. Reżyserował p. Aleksander Węgierko. Specjalne komplementy należą się panu M. Kondrackiemu za skomponowanie bardzo ładnej ilustracji muzycznej. Niepodobna wyliczać wszystkich aktorów, biorących udział w widowisku. Lista ich jest bardzo długa, a wszyscy grali bardzo dobrze, w miarę swoich sił. Wypada jednak zanotować przynajmniej wykonawców ról głównych: pana Kazimierza Fabisiaka (Machlojkios), p. Zdzisława Karczewskiego (Klepibides), pp. Chmurkowskiego, Mileckiego, Chmielewskiego, Magerównę, Tarnowiczównę, Skarżyńskiego, Rosłana, Rygiera i Fritschego.

ZASTĘPCA

NOWA KOMEDJA WROCZYŃSKIEGO

POPULARNY w Warszawie komedjopisarz p. Kazimierz Wroczyński wystawił na scenie Teatru Narodowego nowy swój utwór p. t. „Kobiety i interesy". Utwór ów—bardzo typowy dla twórczości autora „Dziejów salonu" — jest tak zwaną „lekką" satyrą na stosunki u nas panujące. Autor wyszydza w nim modną „eugenikę kosmetyczną" oraz kuracje „ziołowe". Przedewszystkiem zaś przypina łatki biurokratom,

Nie można powiedzieć, żeby pan Wroczyński przy komponowaniu charakterów, występujących w sztuce, wysilał się nad ich pogłębieniem. Po wszystkich zagadnieniach, poruszanych przez siebie, autor prześlizguje się jaknajpowierzchowniej, dbając jedynie o wykrzesanie z sytuacyj scenicznych jak najwięcej uciechy dla galerji. „Komedja“ jego należy właściwie do kategorji krotochwil. Odpowiedniejszą dla niej sceną, niż Teatr Narodowy, byłby niewątpliwie Teatr Letni. Czy będzie miała powodzenie? Któż to w dzisiejszych czasach zdoła przewidzieć. Miłośnicy farsy twierdzą, że tak. Wróżą p. Wroczyńskiemu sukces u t. zw. „szerokiej“ publiczności. Elita premjerowa jednak kręciła nieco nosami. Dowcipy nie wzbudzały huraganowych salw śmiechu. Autorowi urządzono zaraz po pierwszym akcie nader pośpieszną owację grzecznościową, która się ani w antrakcie następnym, ani po ostatecznem zapadnięciu kurtyny nie powtórzyła. Ale elita premjerowa bywa przesadnie grymaśna. Pozatem wykonanie sztuki nie potrafiło należycie uwydatnić jej walorów. Aktorzy nie wydobyli z siebie dostatecznych zasobów wesołości. Pan Samborski traktował swoją rolę o wiele za poważnie, o wiele za bardzo „po komedjowemu“ i chociaż w opracowanie jej włożył sporo wysiłku, wysiłek ten okazał się daremnym: nie potrafił nas rozruszać. Nie powiodło się to również, niestety, panu Sosze, który obrał metodę biegunowo przeciwną, niż pan Samborski, i rolę swoją zanadto przeszarżował. Najlepiej z mężczyzn grał chyba Węgrzyn. Pozatem dobre momenty mieli Małkowski i Hnydziński. Wdzięk kobiecy reprezentowały pp. Gorczyńska, Gellówna, Dullanka i parę innych. Linderfówna w akcie pierwszym była bardzo zabawnie ucharakteryzowana. Widowisko udekorował pomysłowo i efektownie Karol Frycz. Reżyserował je Ludwik Solski.

ZMARLI

Ś. P. JAN CHUDZIK

DNIA 14 b. m. padł w Brzozowie, rażony kulą skrytobójcy, nieodżałowanej pamięci młody działacz narodowy Jan Chudzik.

Pochodził ze wsi małopolskiej, z nad Sanu. Twardo szedł przez życie, zdobywając krok za krokiem, nieraz o głodzie i chłodzie, zrazu średnie, a potem wyższe wykształcenie. Skończył wydział prawny Uniwersytetu Warszawskiego (pierwsze trzy lata w Krakowie) ze stopniem magistra praw. Po przybyciu na Uniwersytet Jagielloński zaciągnął się odrazu w szeregi krakowskiego koła Młodzieży Wszechpolskiej i należał do najgorliwszych jej członków. W czasie przewrotu majowego pełnił służbę w Straży Narodowej. W styczniu 1927 r. wstąpił do Obozu Wielkiej Polski w Krakowie i do końca swego życia pracował i walczył jak obozowiec.

W międzyczasie był sekretarzem Romana Dmowskiego w Chludowie. Służbę wojskową odbył w Dęblinie w szkole lotniczej.

Po ukończeniu studjów osiadł w Brzozowie, jako kandydat notarjalny i prowadził wydział powiatowy Młodych oraz referat organizacyjny Stronnictwa Narodowego. Na placówce brzozowskiej został podstępnie zamordowany.

Oto garść suchych, po kronikarsku zestawionych faktów z krótkiego, a tak już bogatego życia ś. p. Jana Chudzika.

Przedwcześnie zmarły nasz kolega należał do rzadkiego dziś typu entuzjastów. Nie umiał pracować połowicznie, oddał się sprawie bez reszty i nieustępliwie, z uporem walczył o Wielką Polskę. Kiedy się z Nim mówiło o celach i sposobach walki, jaką Obóz Narodowy toczy w Polsce, zapominał o bożym świecie, zasłuchany płonął jakimś dziwnym, wewnętrznym ogniem i z niezwykłem poświęceniem i oddaniem rzucał się w wir pracy, nie dbając wcale o siebie. Biła od Niego wiara i zapał, który się udzielał otoczeniu.

Nie lubił błyszczeć w świecie. Był skromny, trzymał się ziemi, z której wyszedł i posiadał dar konkretnego myślenia i działania. Należał do świeżej fali młodej inteligencji polskiej, która licznie napłynęła ze wsi po wojnie do obozu narodowego i głównym celem swego życia uczynił zorganizowanie powiatu. Z dumą mówił: Niechaj inni robią wielką politykę, ja wam przyprowadzę przeorany ideologją narodową powiat.

Wielkie miasto męczyło Go, tęsknił do rodzinnego gniazda, pod strzechę.

Ostatnie lata swego życia poświęcił pracy na wsi, którą — jak mało kto — rozumiał, kochał i którą pragnął wyjarzmić z pod uroku żydowsko-klasowych haseł... Jaką miłością się cieszył wśród swych najbliższych, świadczy tłumny kilkutysięczny udział chłopów w Jego pogrzebie.

Stworzył ośrodek myśli narodowej w Brzozowie, skąd promieniowała na wsie okoliczne, które nieraz przemierzał pieszo, aby nieść pokrzepienie i uświadomienie swym braciom od pługa.

Zginął na posterunku, zamordowany przez przeciwnika. Nie łzami Go żegnać należy, lecz mocnem postanowieniem prowadzenia dalej walki o Wielką Polskę, której całe życie wiernie służył i dla której padł w kwiecie wieku.

Cześć Jego świetlanej pamięci!

TAD. B.

Ś. P. WŁODZIMIERZ WAKAR

DNIA 9 b. m. zmarł w Warszawie ś. p. Włodzimierz Wakar, zasłużony ekonomista i publicysta.

S. P. Włodzimierz Wakar urodził się w r. 1885 w Tambowie. Studjował w Genewie, Warszawie i Petersburgu. Ukończył wydział prawny Uniwersytetu Petersburskiego.

Był jednym z wybitniejszych działaczy pokolenia 1905 roku w walce o szkołę polską. Prócz wielu artykułów, zamieszczanych stale od r. 1909 w czasopismach naukowych i w prasie codziennej, Włodzimierz Wakar ogłosił drukiem szereg prac naukowych i publicystycznych, jak m. in. „Rozwój ludności Królestwa Polskiego“, „Oświata Publiczna w Król. Polskiem w 1905 — 1915“, „Zagadnienie samorządu Rzeczypospolitej odzyskanej“, „Doświadczenia i błędy naszej polityki zagranicznej“ (to ostatnie pod pseudonimem Consulibus) i wiele innych.

Podczas okupacji niemieckiej Wł. Wakar redagował tygodnik „Polska“. Jednocześnie, od 1916 do 1919 r., był dyrektorem Biura Pracy Społecznej, a następnie współzałożycielem i dyrektorem Instytutu Gospodarstwa Społecznego i członkiem komitetu Klubu i Redakcji „Przymierza“. Był współzałożycielem Związku sejmików powiatowych Rz. P. Szereg cennych, głęboko ujętych artykułów zamieścił też na łamach „Myśli Narodowej“, zwłaszcza w rocznikach z lat 1926 i 1927.

W tym samym czasie ś. p. W. Wakar kontynuował prace teoretyczno-naukowe, zajmując katedrę profesora demografji w Wyższej Szkole Handlowej w Warszawie.

*

Zmienny, kapryśny, a zapamiętały w swych sądach o rzeczach i ludziach, żartobliwy i poważny, czarujący w rozmowie, ujmujący w osobistym stosunku, pyszny i skromny zarazem, prosty i niezwykle skomplikowany, jadowity — dla humoru — w pochwale, dobroduszny w ocenie, jak dziecko swawolny, jak mędrzec chłodny w wartościowaniu idej i czynów, lekkomyślny, a pełen powagi we wszystkiem, co robił na serjo, wierny choć nie stały, blizki i obcy — takim był Wakar.

Dziwnie pociągający i dziwnie nieuchwytny.

Poszukiwacz Prawdy—aż na bezdrożach herezji.

Wielu nauk wyznawca i odstępca. W jednej osobie apologeta i krytyk.

Dziecko końca wieku. Najbardziej skończony i najbardziej ułomny przedstawiciel swego pokolenia.

Umarł przedwcześnie — albo za późno. Przeszłość swą przekreślał niejednokrotnie. A przyszłości nie zdążył zbudować.

Pamięć Jego będzie zawsze blizka tym, co rozumieli Jego nieprzeciętność.

J. N.

P. S. Jeden z dzienników („Express Poranny“) uznał za wskazane podkreślić w notatce, poświęconej ś. p. Wakarowi— Jego rzekomo rosyjskie pochodzenie. Nie jest to ścisłe. Wakar pochodził z rodziny polskiej (względnie kresowo-litewskiej), która w jednem pokoleniu (ojca ś. p. Wakara) uległa rusyfikacji, jednak matka Wakara (z domu Hussakowska) była rodowitą Polką. Umarła, gdy ś. p. Wł. Wakar był młodym chłopcem. Wskutek tego wpływ pierwiastków polskich na atmosferę domu zmalał niemal doszczętnie. Lecz ojciec Wakara, wysoki sądownik rosyjski, przeniesiony został z dalekiej Syberji (z Tomska) do Warszawy. Tu w atmosferze rewolucyjno-strajkowej r. 1905-go Włodzimierz Wakar dojrzał na Polaka.

Narodowość objektywna przetworzyła się w Nim w narodowość subjektywną. W gruncie rzeczy nigdy nie był Rosjaninem. Był tylko „Rozłuckim“.

J. N.

OFENSYWA

DO SZTAMBUCHA BOYOWI, HULCE I OJCU WINCENTENTEMU S. M. Z LOŻY „POD ZŁOTYM CIOŁKIEM"

PRÉFACE

JEDNEMU, który kontentuje się rolą bawidamka Warszawy, i jest właściwie Gawalewiczem *à rebours* ery 1925 — 1935, wydaje się w przystępie gwałtowniejszego ataku megalomanji prześladowczej, że jest Wolterem *Poloniae Restitutae*.

Drugi pochłania dniami i nocami zwały ksiąg i miesięczników niemieckich, by potem wysnuwać z tego, co przeczytał i nie całkiem przetrawił, niekończącą się nić rozmyślań i refleksyj masońskich. A jest w głębinach świadomości: Luter.

Trzeciemu marzyła się rola Crocego. A że jest rzeczoznawcą istotnym włoskiego piśmiennictwa, więc nadal wywodzi się duchowo wprost od Giordana Bruno. Niechżeż tedy wszyscy trzej dowiedzą się i uświadomią sobie co, ich Wielcy myśleli w najaktualniejszej dziś i jutro kwestji.

I

Wolter:

„*Dictionnaire philosophique*". Tom XXV.

„Żydzi są niczem innem" jak najbardziej nieświadomym i barbarzyńskim ludem, który złączył najbrudniejszą chuć posiadania z zabobonami najbardziej godnymi pogardy i niewygaszoną nienawiścią, nienawiścią do wszystkich narodów, u których są tolerowani i na których się bogacą".

„*Melanges*". Tom XII.

„Mój wuj miał do czynienia z najuczeńszymi żydami z Azji. Wyznali mu, że ich przodkom została nakazaną odraza do wszystkich innych narodów. I w istocie u wszystkich historyków, którzy o nich pisali, niema ani jednego, któryby nie był o prawdzie tych słów przekonany, a gdy się tylko otwiera żydowskie książki „zbiera się zaraz na to dowody".

„*Correspondance a M. de Lisle*". Tom LXVIII.

„Tak jak Baniantowie (?) i Ormianie całą Azję ciągle przemierzają i jak wyznawcy Izydy występują teraz jako Cyganie, aby na podwórzach domów to wróżyć to kraść drób, tak są i żydzi, ta hołota hultajska tam wszędzie, gdzie można pieniądz zarobić. A czy tam już te obrzezki Izraela, którzy dzikusom stare portki sprzedają, podają się za potomków szczepu Naphtali czy Iszahar, to jest rzecz bagatelna, gdyż zawsze pozostają największem tałałajstwem, jakie kiedykolwiek brudziło skorupę ziemską.

„*Essai sur les moeurs*". Tom XV:

„Mały narodek żydowski ma czelność nie ukrywać się z nieprzejednaną nienawiścią do wszystkich narodów, a jest zawsze zabobonny i zawsze zachłanny na dobro innych i zawsze w niedoli nikczemny, a w szczęściu bezczelny".

„*Essai sur les mocurs*" III:

„Jest się niekiedy zdziwionym tą nienawiścią i pogardą, jaką żydom okazują wszystkie narody. Jest to jedynie niemożliwe do usunięcia następstwo ich zachowania. Oni stale przechowują te obyczaje, które stoją w prostem przeciwieństwie do istniejących społecznych stosunków; muszą więc słusznie być traktowani jako naród przeciwstawiający się wszystkim innym, którym służą z rozkazu chciwości, któremi pogardzają z fanatyzmu i w stosunku do których oszustwo traktują jako święty obowiązek".

17 tom „*Oeuvres*". *Edition Bemhot. Paris* 1840, strona 53.

„Huroni, Kanadyjczycy, Irokezi są filozofami humanitarnymi w porównaniu z Izraelitami".

II

Marcin Luther:

„Mowy przy stole". *Erlauger Ausgabe*. Str. 120.

„Wszelkie ich serc westchnienia i wzdychania zmierzają do tego, aby raz z nami poganami mogli tak postąpić, jak postąpili z poganami w Persji za czasów Estery. Och, jak oni kochają Księgę Estery, która tak licuje dobrze z ich krwiopijczemi, mstliwemi, morderczemi chuciami i nadziejami! Nigdy słońce nie oświecało ludu bardziej krwi chciwego i pomsty żądnego, jak oni, którzy dlatego siebie mają za naród wybrany, bo mają pogan dusić i mordować...

(Strona 176) Ich oddech cuchnie żądzą złota i srebra, bo niemasz ludu pod słońcem i nie było i nie będzie bardziej chciwego, jak to widać po ich przeklętych szachrajstwach. I tem się oni pocieszają, że kiedy Mesjasz przyjdzie, to wszystkim poodbiera złoto, a im odda...

(Strona 244) Wiem dobrze, że temu i tamtemu będą zaprzeczali. Wszystko się jednak zgadza z wyrokiem Chrystusa, że to są gorzkie, szydercze, mstliwe jadowite żmije, skrytobójcy i dzieci szatana, którzy pokryjomu kłują i szkodzą, jeżeli nie mogą tego czynić jawnie.

(Strona 254) Może ktoś myśleć, że ja mówię za dużo. Nie tylko nie mówię za wiele, ale za mało, gdyż ja znam ich pisma. Przezywają nas gojami i życzą nam w swoich szkołach i modlitwach wszystkich nieszczęść, zabierają nam nasze złoto i dobro przez lichwę i gdzie tylko mogą, czynią nam krzywdę, a zdaje im się, że dobrze czynią i służą Bogu i uczą nadal tak postępować. Tak nie postępowali nawet poganie i nikt nie postępuje, ani sam szatan, który żydów opętał.

(Strona 233 — 238) Pod ich bóżnice i szkoły należy podkładać ogień, a kto może, niech dorzuca do niego smoły i siarki. Kto dorzuciłby do tego piekielnego ognia, uczyniłby dobrze. A czego się nie chwyci ogień, trzeba posypać grubo ziemią, aby żaden człowiek z tego nigdy nie zobaczył kamyka lub żużla. Tak samo trzeba połamać i zniszczyć ich domy, a ich samych jak cyganów pozamykać pod dachem lub w chlewie, aby wiedzieli, że nie są panami naszego kraju. Trzeba żydom odebrać urzędową opiekę (*das Geleit*) i zamknąć przed nimi drogi, bo nic na wsi nie mają do szukania. Jeżeli Wy, książęta i panowie, w prawny sposób nie pozamykacie dróg przed żydami, to powstanie bunt ludu przeciwko nim, ponieważ moja książeczka go pouczy, czem są żydzi i jak trzeba z nimi postępować. Trzeba im zakazać wszelkiej lichwy i odebrać im wszelki majątek, klejnoty, złoto i srebro, bo wszystko, co posiadają, ukradli nam swoim rozbojem lichwiarskim, bo w inny sposób żyć nie umieją... Bogacą się naszym potem i naszą krwawicą. My stajemy się coraz biedniejsi wskutek ich wyzysku. Wysysają nas jak pijawki, jak zmora, leżą nam na piersiach te próżniacze szelmy i leniwe brzuchacze, chlają (*saufen*) i żrą, dobre czasy spędzają w naszym domu, za to bluźnią Panu Jezusowi, Kościołom, książętom i nam wszystkim grożą i życzą śmierci i wszelkiego nieszczęścia.

(Strona 137) Gdzie widzisz lub słyszysz jak żyd poucza to nie myśl inaczej, jak tylko to, że to bazyliszek uczy.

(Strona 182) A gdy czynią co dobrego, to wiedz sobie, że nie czynią tego z miłości, lub dla twego dobra, ale tylko dlatego, aby mieć miejsce, gdzieby u nas zamieszkali, muszą więc czynić coś z potrzeby, ale serce ich pozostaje takie, jak wam mówiłem...

A kiedy złodziej skradnie 10 guldenów, to będzie wisiał, a gdy napada na gościńcach, głowę utraci! Żyd natomiast, jeżeli 10 beczek złota skradnie i zrabuje i to przez swą lichwę, to jest jeszcze swemu Bogu milszy"...

III

Giordano Bruno

Spaccio Wolumen II.

„Zaiste nigdzie indziej nie znalazłem takiego poglądu na prawo, jak tylko u dzikich barbarzyńców, a jak sądzę, po raz pierwszy u żydów, bo tylko oni są takiem plemieniem zarażonem, zaraźliwem i dla wszelkiego ogółu złowrogiem, które zasłużyło na to, aby już przed rodzeniem się było wyniszczonem...

Hebrajczycy!... oto lud zawsze poniżony, niewolniczy, oszukujący, zamykający się w sobie, oddzielający od innych ludów, które traktują z bydlęcą wzgardą i od których też są zasłużenie poniżani"...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Wśród ogółu prasy w Polsce, w sposób mniej lub więcej uroczysty czczącej Norwida w pięćdziesięciolecie Jego zgonu, wyróżniły się „Wiadomości Literackie", które o rocznicy norwidowskiej nie zamieściły dosłownie nawet jednego zdania. Jakoś zapomniano o tem zupełnie, wśród nawału spraw aktualnych, jak propaganda spędzania płodu, homoseksualizmu, walki z Hitlerem... Nikt nie pomyślał jakoś, ot, zdarza się, roztargnienie... A to brzydko tak nie umieć odwdzięczyć się poecie za jego piękny wiersz „Żydowie polscy..."

*

Podobno... pytano dziennikarzy z żydowskiego „Naszego Przeglądu", czemu wzywali pomocy policji, gdy znajdowali się w pięciu, a jeden młody człowiek, podszedłszy, zapytał, który z nich jest p. Samuelem Hirszhornem, następnie zaś czynnie go znieważył.

— Musieliśmy udać się pod opiekę policji — odpowiedzieć miał jeden z zapytanych, — przecież byliśmy... s a m i.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM